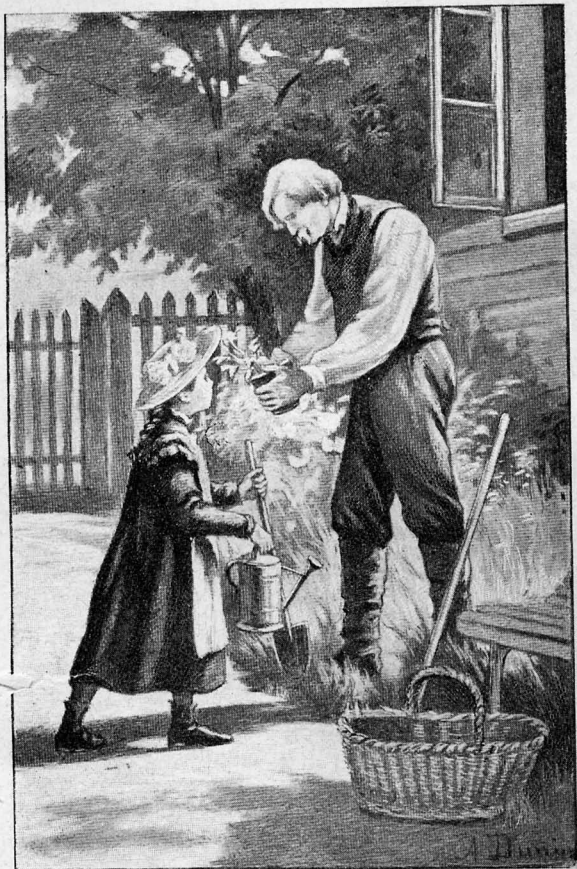


NACIA NA PEŃSYI



Gdy żegnałam się z ogródkiem i z Maciejem . . .

MARYA WERYHO

NACIA NA PENSYI

OPOWIADANIE

dla dzieci od lat dziewięciu do dwunastu



Z 6-ma rysunkami A. Duninówny



WARSZAWA

NAKLAD GEBETHNERA i WOLFFA

Дозволено Цензурою.
Варшава, 27 Іюля 1899 года.



ój dzienniczku, który leżysz przede mną na stole, przedstawiam ci dziewczynkę Nacię. A ma ona już lat dziewięć.

Włosy ma ta dziewczynka ciemne, oczy niebieskie, trochę zamały nos i zaduże usta; nie jest przytem ani tęga, ani szczupła. Czy ma dobre serce? Czy dużo ma rozumu? O tem ci powiedzieć, dzienniczku, nie mogę, bo sama nie wiem, ale jeżeli jesteś bardzo ciekawy, to zapytaj mego poprzedniego dzienniczka. Z nim spędziłam całe lato u babci i zna mnie on bardzo dobrze.

Teraz, gdy wiesz, z kim będziesz miał do czynienia, posłuchaj, co powiem: co wieczór będziemy sobie rozmawiali, na ławce, w klasie. A gdy zapiszę ostatnią twoją stro-

nę, to cię zapakuję i odeślę hen, daleko! aż na wieś, do mego kochanego starego Macieja.

Może ty nie wiesz, kto jest Maciej?— To nasz ogrodnik, dobry, jak anioł... Spędziłam z nim całe lato u dziadków. Jakże mi tam było dobrze! Jak wesoło! Starowina pomógł mi poznać cały świat roślinny i zwierzęcy w moim ogródku, który nazwaliśmy „Ogródkiem Naci“, ku wielkiej mojej radości.

Gdy żegnałam się z ogródkiem i z Maciejem, było mi bardzo przykro. Wtedy pocziwiec poprosił mnie, bym do niego pisywała, donosząc, jak mi się powodzi na pensyi, co robię, czego się uczę, a szczególnie, ażebym mu przysyłała wszelkie wiadomości o roślinach, owadach, bo go to najwięcej zajmuje.

— Ja panience też odpiszę, co tu u nas w ogródku się dzieje — rzekł ten zacny staruszek — i tak będziemy sobie niby rozmawiali.

Zgodziłam się. Ale bardzo mi było smutno zostawiać samego starca. Z początku dzień po dniu pisywałam listy, lecz w końcu musiałam przestać, bo dama klasowa oznajmiła

mi, że tylko raz na tydzień, w sobotę, wolno pensyonarkom pisywać listy.

Szkoda! — pomyślałam.—A gdy się coś ciekawego zdarzy we środę, lub we wtorek, to mam pamiętać aż do soboty! — jeszcze zapomnę i Maciej może się nie dowiedzieć!...

Pomyślałam więc sobie: Tak być nie może: do soboty każdego tygodnia nie wytrzymam. Muszę jakoś sobie poradzić...

I poradziłam.

Wzięłam obszerny, czysty zeszyt, nazwałam go moim dzienniczkiem i w nim każdy dzień, w którym przytrafiło się coś ciekawego, opisuję.

Naturalnie, że nikomu o tem nie mówiłam. Mój dzienniczku drogi, do czasu zachowujmy się w wielkiej, wielkiej tajemnicy.

O; nigdy nie zapomnę owego pierwszego dnia na pensyi!

Przychodzimy z babcią, dzwoniemy; otwiera lokaj i prosi nas do salonu. Wchodzi jakaś niemłoda pani, rozmawia z babcią, nie wiem o czem, posłyszałam tylko ostatnie wyrazy: „Szkoda, że się pani spóźniła z wnuczką; bo się lekcye już od tygodnia rozpoczęły“.

Ogromniem się ucieszyła, słysząc to...
Ażem ręce z radości zacierała. — „Dałby
Bóg — pomyślałam — żeby mnie nie przyję-
to“. Czekam więc, aż babcia wstanie i pój-
dziemy sobie.

Wtem przechodzi jakaś panienska przez
pokój i pani przełożona każe mi z nią pójść.

— Niech pani zechce wyegzaminować
małą do klasy wstępnej — powiada.

No, i musiałam pójść.

W drodze postanowiłam nie odpowiadać
na pytania. Niech sobie myślą, że nic nie
umiem i nie przyjmą mnie na pensję.

Zaczął się egzamin. Posadzono mnie przy
stole i dano książkę do czytania.

Przecież czytać umiem, musiałam więc za-
cząć, gdyżby nauczycielka z pewnością mnie
wstydziła, że taka duża, jak ja, dziewczynka,
nic nie umie. Po czytaniu poszło pisanie,
później rachunki. W końcu zaś nauczycielka
powiada:

— Bardzo dobrze. Umiesz dużo, więcej
nawet, niż potrzeba do klasy wstępnej.

Tak mnie chwaliła.

A ja znowu myślę: — „Dobrze, może po-

wie babci, że dużo umiem i że więcej uczyć się nie potrzebuję, a wtedy wrócę na wieś“.

Tymczasem inaczej się stało!...

Nauczycielka poszła do przełożonej i do babci, porozmawiały jeszcze chwilę, a potem wróciła i zabrała mnie do drugiego pokoju.

— Wszystko stracone — pomyślałam sobie — zostanę na pensji sama, z obcymi ludźmi; babcia wyjedzie na długo...

Usiadłam na ławce, w głowie mi szumiało, oczy miałam pełne łez, powieki mi drżały — nie wiedziałam sama, co się ze mną dzieje.

— Jak się nazywasz? — pyta mnie jedna dziewczynka, zbliżając się do miejsca, gdzie usiadłam.

— Czy zostaniesz w naszej klasie? — zapytuje druga.

— Usiądź koło mnie — mówi jeszcze inna.

Ale ja nic nie odpowiadam: w gardle mię coś dławi, rumienię się coraz więcej, wstydzę się sama siebie, chciałabym uciec.

Wtem gdzieś zadzwoniono.

W jednej chwili dziewczynki zerwały się

z miejsc i wyszły do sali; zaczął się hałas, gwar, ruch i bieganie.

A ja tymczasem oparłam się o stół i jak nie zaczęłam płakać, szlochać! Aż to widać nauczycielka usłyszała.

Zbliża się do mnie, obejmuje w pól, całuje w głowę i przemawia do mnie łagodnie:

— Nie płacz, dziewczeczko, nie jest tu tak źle, jak ci się wydaje; wiem, że ci tęskno za domem, za swoimi, ale przecież wrócisz do nich na wakacje. Widzisz, my tu wszyscy jesteśmy sami: przyzwyczailiśmy się i nie martwimy się. Chodź, zapoznam cię z koleżankami.

Podawała mi rękę i zaprowadziła do sali.

Gdy sobie usiądę do pisania dzienniczka, to mi jakoś raźniej i weselej się robi na duszy. Czasem zdaje mi się, że jestem w małym domku wiejskim, u babci... Jedno tylko mnie niepokoi przy pisaniu — to strach, ażeby kto nie spostrzegł mego dzienniczka. Nauczycielka widzi, że piszę, więc nic nie mówi. Ale gdyby kiedy zajrzeć zechciała... Nie wiem sama, co bym zrobiła, nawet pomyśleć o tem się boję.

Jak tu jest dziwnie na tej pensyi, jak wszystko inaczej, niż w domu... Rzadko mnie tutaj nazywają Nacią: na każdą z nas prawie wołają po nazwisku, tak, jakbyśmy imion nie miały. Z początku aż mi przykro było słuchać, ale później domyśliłam się dlaczego. Oto dużo dziewczynek ma jednakowe imiona, więc wszystkieby naraz odpowiadały.

A jakie tu mnóstwo dziewczynek! Jeszcze się żadnej dobrze nie przyjrzałam; zdaje mi się, że one wszystkie do siebie podobne: wzrostu prawie jednakowego i wszystkie mają jednakowe brązowe sukienki.

Co godzina przychodzi do nas inny nauczyciel, albo nauczycielka i co innego wykładają. Owszem, lubię ich słuchać, tylko mi się czasem nudzi, gdy która dziewczynka bardzo wolno czyta lub rachuje, a tu tymczasem o czym innem myśleć nie można, bo zaraz nauczyciel pyta się lekcyi, a gdy się nie umie, to przykro bardzo. Wolę lekcyę, o, stokroć wolę, niż pauzy! Bo wtedy zaczyna się taki hałas, krzyk, śmiechy, zabawy... Nie rozumiem doprawdy, jak można się bawić lub śmiać, gdy się jest tak daleko od swoich, na

pensyi, wśród obcych. Mnie tutaj zawsze bardzo smutno. Tylko w dzień nie płaczę, bo się wstydzę, ale zato, jak się położę do łóżka, wieczorem, jak sobie wszystko przypomnę, to tak szlocham, aż usta muszę poduszką zatykać. Tu i na spacer nas prowadzą, lecz wtedy musimy się ustawić w pary i iść jedna za drugą. Musimy też wszystkie iść razem, starając się, aby żadna nie szła ani prędzej ani wolniej.

Co mi to za spacer! To nie bieganie po naszym ogródku. Ach, mój ogródku kochany! Ach, Macieju, żebyś wiedział, jak mi jest smutno! Nie piszę o tem do babci, nie chcąc jej martwić!... ale tobie mówię, jak jest, że mi okrutnie, strasznie, przeraźliwie tęskno do domu. Żeby tak uciec stąd! Boże, mój Boże, jaka jestem nieszczęśliwa! Już więcej pisać nie mogę. Popłaczę sobie trochę... nauczycielka jest zajęta, nie spostrzeże.

Mój Macieju, gdy będziesz czytał mój dzienniczek, pewno pomyślisz, że sobie nieraz tylko żartuję. A ja tymczasem mówię zupełną prawdę, tak jak jest, nic nie zmieniam, nie przekręcam.

Czy wiesz, że w czasie lekcji każda z nas musi całą godzinę siedzieć spokojnie na miejscu? Tak, musi siedzieć i to wyprostowana. Gdyby kto chciał wstać, lub chodzić, to nie wolno. Nie to, co w domu... tam, gdybym chciała wstać sto razy na godzinę, nikt mi tego nie zabroni.

Mamy u siebie w klasie jedną małą dziewczynkę, Zosię Biegańską. Okropny to żywiec! ciągle się kręci, — powiada też sama, że wyskoczy kiedy susem z ławki. Otóż dnia jednego udała, że jest okropnie spragniona, i co chwila wstając, podchodziła do stołu, nalewała sobie kropelkę wody i udawała, że pije. A robiła to tylko dlatego, że jej się nudziło siedzieć w miejscu. Ale na nieszczęście spostrzegła to nauczycielka, nalała jej szklanek wody i postawiła przed nią. Naturalnie, że woda została nietknięta, a biedna Zośka była bardzo zmartwiona.

Nie długo jednak spokojnie siedziała... wkrótce przyszedł jej do głowy inny pomysł.

Zebrała kilka dziewczynek i umówiła się z nimi, że w czasie lekcji niemieckiego urządzi przepyszną zabawę.

Jeszcze dama klasowa nie wróciła z sali, gdy wszystkie siedziałyśmy na swoich miejscach, a każda z nas trzymała ręką długi sznur, który przechodził przez wszystkie ławki, pod stołami. Umówiłyśmy się w ten sposób, że gdy kto mocno targnie za sznur, wszystkie natychmiast go puścimy.

Przychodzi profesor, jakiś nachmurzony, prawie na nas nie patrzy. Wrywa jedną dziewczynkę, każe jej stanąć przy sobie i głośno czytać; czytanie takie zwykle trwa dość długo i wydaje się nam nudne.

A wtem przesuwa się do mnie po sznurze jakiś obrazek. Patrząc: figle rozmaite — a pod spodem napisano: „posuwaj dalej“. — Obejrzałam i choć niechętnie, posunęłam do sąsiadki, sama natomiast dostałam inny i tak szło dalej. Nauczyciel tymczasem zapytał drugą i trzecią uczennicę, a myśmy się bawiły wybornie.

Nagle dama klasowa podbiegła do nas i zaczęła nam oglądać ręce. Nauczyciel przestał pytać i zasmucony spoglądał na nas; na szczęście, dzwonek oznajmił koniec lekcji. Żadna z towarzyszek nic w rękę nie miała,

gdyż sznur dawno był schowany. Każda z nas wiedziała, że to był pomysł Zosi B., ale nikt nic nie mówił, a sama Zosia była taka spokojna i wesoła, jakby o niczem nie wiedziała. Za tę zabawę zmniejszono nam stopień ze sprawowania...

14 Września.

Już po raz czwarty zasiadam do pisania w moim dzienniczku, a zdaje mi się, że dotychczas nic porządnego nie zapisałam ani o roślinach, ani o ogródku, ani o zwierzętach. Kiedy bo, prawdę mówiąc, nie wiem, jak z tem będzie. Dużo lekcyi dziennie słucham, ale wszystko nie to, czego mi potrzeba. Nicjeden z nauczycieli opowiada nam bardzo ciekawe rzeczy, ale nic o ogrodach nie wspomina; inni znowu wykładają język polski, gramatykę, języki obce, rachunki...

Wczoraj nauczycielka rachunków zaczęła takie opowiadanie: „Pewien ogrodnik zasiał trzy gatunki drzew: gruszki, śliwki i wiśnie, razem było 32 i t. d.“

Nareszcie—myślę sobie—zaczyna się to,

o co mi chodzi. Nadstawiam uszu, słucham, co dalej będzie — jak on je zasadził, jak szczepił... Ale gdzie tam! cała historia na tem się skończyła, że zasadził drzewa, a myśmy musiały porachować, ile było każdego gatunku drzewek. To było poprostu zadanie arytmetyczne.

I tak ciągle.

Mamy jedną jeszcze lekcję, którą bardzo lubię: nazywa się „lekcya o rzeczach.“ W czasie tej lekcyi nie potrzebuję ani czytać, ani pisać, tylko rozmawiamy z nauczycielką.

Ostatnim razem zapytuje nas ona, jak wyglądały pola, łąki, lasy i ogrody, kiedy odjeżdżałyśmy na pensję. Któż-by tego nie wiedział? A więc każda dziewczynka miała dużo do opowiadania i każda słuchała z ciekawością. Przyszła i na mnie kolej. Opowiedziałam o naszym kochanym ogródku, o kwiatach, które już przekwitły, które jeszcze kwitną, o drzewach, o tem, jak zbieraliśmy nasiona, i już nie pamiętam dobrze co, ale wiem, że bardzo dużo mówiłam. Nauczycielka patrzyła na mnie łaskawie, uśmiechnęła się trochę i tak powiada: „Cóż to się stało,

Naciu, żeś się tak rozgadała? Skąd ci się taka odwaga wzięła? Dotychczas trudno było od ciebie słowo wydobyć, a dziś tak ładnie opowiadasz...“ Nie spodziewałam się, co prawda, takiej pochwały i trochę się zawstydziałam, poczerwieniałam, aż mnie uszy paliły, ale przyznam się, że mi było bardzo przyjemnie. Nie wiem sama, czy dlatego, że mnie pochwalono, czy może dlatego, że mnie nazwała Nacią? Tak, teraz wiem napewno, że dlatego, iż mnie nazwała po imieniu, jak w domu na mnie wołają.

W czasie dużej pauzy zbliża się do mnie jedna z moich koleżanek i zapytuje:

— Masz na imię Nacia, jak ja, tylko że mnie w domu nazywają Natalcią.

— Więc nazywajmy się po imieniu, dobrze? — powiadam do niej. Wzięłyśmy się pod rękę i zaczęłyśmy chodzić po sali.

— To ty masz taki ładny ogródek, ładniejszy, niż ogród Saski? — pyta Natalcia.

— O, daleko ładniejszy, sto razy!

— I fontanny tam są? — pyta Natalcia.

— Nie, gdzież tam!

— A figury przy drogach, jak w ogrodzie Saskim, stoją?

— Figur też niema.

— No, to duże takie aleje z ławkami masz w swoim ogrodzie?

— Owszem, jest jedna, ale malutka aleja lipowa.

— Więc dlaczego twój ogródek jest piękniejszy? Cóż w nim jest takiego?

— Ach, moja Natalciu, ja ci opowiedzieć nie mogę, ale w nim i drzewka są ładniejsze, i trawa zieleńsza, i kwiatki ładniej pachną, i weselej jest w nim tysiąc razy; ja swego ogródka nie zamieniłabym na dziesięć ogrodów Saskich, a za wszystkie fontanny, figury, klomby nie oddałabym mego Macieja.

I wtedy opowiedziałam o moim ogrodniku.

— Wiesz, Naciu, jak to jest dziwnie... ty masz ogrodnika Macieja, a ja mam kanarka Maciusia — także lubię go bardzo.

— Prawda, dwie Natalie mają dwóch Maciejów.

Z tego powodu uściskałyśmy się serdecznie.

— Ja mam jeszcze braciszka małego—Janek mu na imię—i mamę. A ty masz rodzeństwo?

Musiałam wtedy o sobie opowiedzieć, i tak rozgadałyśmy się, że nie słyszałyśmy dzwonka, wzywającego na lekcję. Dopiero koleżanki musiały na nas wołać. Parę razy jeszcze pocałowałyśmy się, bo Natalcia bardzo mi się podoba. Taka rozmowna, taka dla mnie dobra... Szkoda, że nie mieszka stale na pensyi, jak ja; po lekcjach do domu odchodzi — jest przychodnią.

Chciałabym kiedy zobaczyć jej Maciusia i małego braciszka. Natalcia go podobno sama ubiera, myje, czesze, bawi się z nim. To zupełnie jak ja z mymi kwiatkami: podlewam, pielęgnuję, oczyszczam. Ciekawam, co jest lepsze: kwiatki czy braciszek? Pewnie braciszek...

20 Września.

Znowu tydzień minął, a ja się o niczem dowiedzieć na tej pensyi nie mogę. Maciej,

czytając mój pamiętnik, gotów się obrazić; pomyśli, że sobie zażartowałam z niego: obiecałam pisać o roślinach i rzeczach pożytecznych, a opisuję nie wiedzieć co...

Bądź-co-bądź zdaje mi się, że dopnę swego. Tak, prawie jestem tego pewna. Oto z jakiego powodu.

Na pensyi jest zwyczaj, że w niedzielę po południu wszystkie pensyonarki, i małe i duże, zbierają się w sali, aby się bawić wspólnie: grają, śpiewają, tańczą...

Otóż tej niedzieli zapoznałam się bliżej z pensyonarkami z wyższej klasy. One były dla mnie takie dobre, tańczyły ze mną, pieściły... A później jedna z nich wzięła mię na kolana, a inne obsiadły i musiałam im opowiadać o dziadkach, o Macieju, o różnych ptaszkach i zwierzątkach w naszym ogródku; i tak wciąż mówiłam, mówiłam, a one słuchały. Czasem się śmiały ze mnie. Ja się też z niemi uśmieślałam.

Później poczęstowały mnie czekoladkami. Chciały, żebym wzięła całą garść. Ale przecież nie mogłam tego zrobić: jeszczeby mnie za łakomczucha wzięto, więc wzięłam parę...

Ale owe panienki tak się uparły, że same mi do fartucha nakładły. Nie opierałam się—po- częstuję czekoladkami moje koleżanki.

— Podoba ci się na pensyi, mała? — py- ta mię jedna panienska.

— Nie — odpowiedziałam.

— Dlaczego? — pytają inne zdziwione.

— Dlaczego?... A bo mi tęskno za domem, a później dlatego, że żadnych potrzebnych wiadomości Maciejowi nie posyłam, niczego się tu nie uczę. Stary mi powiadał: posłyszysz tam panienska niejedne mądre rzeczy o roślinach i o stworzeniach różnych, będzie panienska mądrzejsza ode mnie — a ja tu wcale te- go się nie uczę.

Panienki się roześmiały i tak tłómaczyły:

— Widzisz, jesteś dopiero w klasie wstęp- nej, tam bardzo mało o roślinach usłyszysz, ale jak dojdiesz do klasy III, to będziesz się uczyła botaniki, takiej nauki, która o samych roślinach uczy. O, ta panienska, Mania, i Lo- la i ja już uczymy się tego, — a ta oto, co, widzisz, z jasnym warkoczem tu siedzi, ta uczy się mineralogii, to jest o różnych kamieniach.

— A więc ja powinnam była wstąpić do

trzeciej albo do czwartej klasy, a pani przełożona kazała mi we wstępnej siedzieć. Chyba nie wiedziała, po co na pensję przyjechałam.

— Widzisz, berbeciu mały, żeby być w klasie trzeciej, trzeba umieć dobrze rachunki, geografę, pisać i wiele innych rzeczy...

— Może panie mają rację, ale to jest wszystko bardzo nudne i dla mego ogródka wcale nie potrzebne. Przecież ani z kwiatami, ani z owadami rachunków robić nie będę, a także ani po francusku, ani po niemiecku z Maciejem nie będę rozmawiała... Więc po co mi to?

— No, malutka, nie martw się, jakoś to będzie. Jeżeli chcesz, to w niedzielę będziemy cię uczyły botaniki, mineralogii i zoologii, będziemy ci opowiadały o tem, czegośmy się nauczyły. Ale ty przecie nic nie zrozumiesz: to są trudne rzeczy, nie spamiętasz...

— Zrozumiem, spamiętam, napewno spamiętam, moje drogie panie! — zawołałam na cały głos i, zerwawszy się z kolan, zaczęłam wszystkie ścisnąć i całować. A w tej radości zapomniałam o fartuszku i rozsypałam swo-

je czekoladki na ziemię. Doprawdy, te starsze panienki takie były dobre, że mi same pomagały zbierać. A później tak komicznie wyglądało, gdy panienki poważnie mówiły: „Oto ja, Mania, będę twoją nauczycielką botaniki“. „A ja — powiada druga — będę cię uczyła mineralogii“. „A ja zoologii“ — mówi trzecia... Musisz nas słuchać, bo jesteśmy bardzo surowe i karzemy nielitościwie za każde przekroczenie“. Robiły przytem srogie miny, ale widziałam przecie, że tylko żartowały ze mnie.

Okrutnie jestem ciekawa tych lekcji... O, wszystkie je sobie zaraz zapiszę w dzienniczku.

28 Września.

Nareszcie, nareszcie-m się doczekała, nareszcie posłyszałam coś ciekawego i zupełnie nowego. No, i naturalnie wszystko zrozumiałam. Ciekawa rzecz, czegoby można nie rozumieć, kiedy o roślinach opowiadają? Właściwie mówiąc, to dopiero od dziś trzeba mi

było mój dzienniczek zaczynać, bo to tylko może zaciekać staruszka Macieja. On może nie wie, że rośliny żywią się, że muszą... Ale zacznę od początku, wszystko opowiem, jak słyszałam.

Z niecierpliwością czekałam niedzieli, aż nareszcie doczekałam się. Przychodzimy jak zwykle na śniadanie, a ja myślę sobie: „Czy też moje nauczycielki pamiętają o przyrzeczeniu? A może zażartowały sobie tylko ze mnie?“ Jeżeli spojrzą na mnie w czasie śniadania — to będzie znaczyło, że wszystko będzie dobrze. Siadam więc, herbatę piję, a oka z nich nie spuszczam. Ale... żadna na mnie ani okiem nie mrugnęła. „Źle — myślę sobie — kpią sobie z Naci“. Wstajemy od stołu, a wtem podbiega do mnie panna Lola i powiada na ucho:

— A pamiętasz, mała, o naszej lekcji? Dziś po obiedzie w sali, na tem samym miejscu...

Powiedziała to pośpiesznie i uciekła. Nawet jej uściskać nie mogłam. Moja piękna, dobra, kochana panna Lola! Później poszliśmy do kościoła, później na spacer, później

był obiad — wszystko to strasznie długo się ciągnęło — aż nareszcie... jesteśmy w sali. Panienki znowu tańczą i grają, a ja siadam na krześle i czekam. Przychodzi panna Mania z panną Lolą i mówią:

— A! stokrotka nasza już tu siedzi i czeka.

To niby ja mam być tą stokrotką. Ale dlaczego tak mnie nazywają wszystkie starsze panienki, tego nie wiem, nie mówiły mi.

— Opowiemy ci, w jaki to sposób rośliny żywią się.

— Wiem, proszę pani: wodą... one bardzo lubią wodę — odpowiadam.

— E, nie! Słuchaj, to ci opowiemy...

— Wiesz przecie, że rośliny ust nie mają i że korzenie zastępują je w zupełności. Nimi to one wchłaniają w siebie różne sole z ziemi, jak gąbka, wciągają wodę.

— Jakie sole? — pytam. — Czy jak nasza kuchenna sól?

— Nie, stokrotko, — wytłómaczyła mi druga panienka — w ziemi są różne sole, nie tylko kuchenna... Ty tylko zrozumiej, że te sole tem są dla roślin, czem dla nas mięso, chleb, mleko. Ale korzenie mają za małe

otworki, żeby mogły wchłonąć sole twarde, mogą tylko płynami się żywić,—więc owe sole muszą być rozpuszczone w wodzie. Rozumiesz?

— Rozumiem, rozumiem. Dlatego też trzeba było podlewać kwiaty, aby owe sole się rozpuszczały, bo przecież sucha ziemia ich nie rozpuści.

— Tak jest, i te rozpuszczone sole w wodzie nazywamy sokami ziemi. Otóż uważaj, bo teraz będzie rzecz trudna do zrozumienia. Soki te przechodzą z korzeni coraz wyżej, podnoszą się po łodydze do gałązek, z gałązek do liści. Ale do tego czasu jeszcze wcale nie odżywiały rośliny, wcale, pamiętaj... Liście rośliny na odwrotnej, lewej stronie, mają mnóstwo otworków.

— O, nie, proszę pani—powiadam—co to, to nie, bo znam dobrze liście i kwiatów i drzew, ale żadnych dziureczek one nie mają. O tem wiem napewno.

Powiedziałam tak, bo zdawało mi się, że moje nauczycielki wciąż żartują ze mnie.

— Słuchajże ty, głuptasku mały — powiada panna Lola—nie mogłaś widzieć owych

otworków, bo są bardzo malutkie; dopiero jak się przez mikroskop, to jest szkło powiększające patrzy, to się je wtedy widzi dobrze.

— A panie widziały?

— Widziałyśmy, nawet spostrzegłyśmy, jak te otworki czasem się otwierają, to znów zamykają, wchłaniając powietrze.

— Jak to dziwne. Zupełnie do ust naszych podobne. Jakie panie szczęśliwe, że mogły to widzieć. Mój Boże, dlaczego nie jestem w klasie III-iej!

— Słuchaj-że dalej. Otóż powietrze to łączy się z sokiem, który jest w listku i zamienia go na inny sok, takiego samego koloru, lecz znacznie gęściejszy. Ten to właśnie sok odżywia całą roślinę; przechodzi wolno po żyłkach liścia do gałązek, do pnia, do korzenia i hojnie rozdaje pokarm. Roślina od tego rośnie i rozrasta się, puszcza nowe pączki, pędy, wydaje kwiat, owoce. Rozumiesz?

Ale mnie to wydawało się tak dziwnem, że się zamysliła. A wtedy panna Mania, słyszałam, jak powiedziała do swej koleżanki: „Czekaj, ja to jej inaczej wytłómaczę“ — i zaczęła mi znowu opowiadać:

— Widzisz, to tak zupełnie z roślinami, jak z ludźmi. Człowiek zjada różne pokarmy, te zamieniają się w płyny, ale jeszcze nie odżywiają człowieka, bo nie są dobre—trzeba ażeby powietrze, które się dostaje przez usta do płuc pomieszało się z sokami i zamieniło je na krew; wtedy dopiero owa krew rozejdzie się przez żyły po całym ciele, dając nam siłę i zdrowie. Zrozumiałaś?

— Ano tak, rozumiem, że rośliny też muszą mieć krew, jak ludzie, tylko ich krew jest wodnista, bezbarwna, a nasza czerwona. Gdy nieraz odrywałam gałązkę lub kwiatek, to ten sok wypływał z przelamania kwiatu. Nie wiedziałam, jak wielkie ma on znaczenie dla rośliny. Jakie to dziwne, jakie dziwne! — pomyślałam.

— No, stokrotko — powiadają mi moje nauczycielki — dosyć tego: za mądra będziesz, — chodź teraz tańczyć.

Porwały mnie wpół i pogalopowałyśmy we trzy przez salę.

1 Października.

Przez dwa dni Natalcia nie przychodziła na pensję. Bardzo mi było tęskno bez niej, bośmy się bardzo pokochały i powiedziałyśmy sobie, że wszystko, wszyscyuteńko będziemy sobie mówiły, wszystkie sekrety i sekreciki. Ja nawet jej powiedziałam, że piszę dzienniczek dla Macieja. Ale wiem napewno, że ona nikomu nie powie.

Myślałam, że biedaczka zachorowała, tymczasem ona była zdrowa, tylko jej braciszek był słaby. Natalcia musiała go pilnować, bo mamusia jej jest bardzo zajęta: cały dzień albo pierze bieliznę, albo prasuje, albo odnosi; a że niańki nie mają, więc Natalcia musiała chorego doglądać. Biedna dziewczynka opowiadała mi to swoje zmartwienie. Mówiła, że ma stare trzewiki, że są w nich dwie dziury, które wciąż się zwiększają.

— Ja w domu — mówi Natalcia — zdejmuję trzewiki i na bosaka biegam.

— A nie zimno ci? — pytam.

— E, co tam zimno... O to chodzi, żeby mi się trzewiki nie podarły, bobym na pensję

nie mogła chodzić. Ja i sukienki bardzo oszczędzać muszę. Mamusia mi ją uszyła, ale powiedziała, że mi już nic nie będzie mogła sprawić w tym roku. Wiesz, ja i paltocik wutowany mam z kołnierzykiem... także matka uszyła, ale nie mogła kupić nic nowego, więc przerobiła ze swego ciepłego kaftana, a sama, gdy wychodzi, chustką się okrywa. A przez te dwa dni, tośmy wcale obiadu nie jadły, bo lekarstwo Janka kosztowało drogo, więc... Ale co mi tam! znalazłam skórki chleba, to sobie w wodzie rozmoczyłam i zjadłam. A braciszce już lepiej...

— To ci się bardzo nudzi, Natalciu?

— Wcale nie; ty myślisz, że ja kiedy płaczę? — nigdy! Wróciwszy ze szkoły, prędko zamiotę pokój, posprzątam co trzeba, Janka umyję, bo go kilka razy na dzień myć trzeba. Matusia mi zacierki ugotuje, zjem i z braciszkiem pobawię się. Później go herbatą napoję i spać położę, a sama usiądę na krzeselku i odrabiam lekcye, a później idę do łóżeczka matuli i śpię mocno aż do rana. Czasem, jak matka ma czas, w Niedzielę, czy kiedyindziej, to nas posadzi koło siebie, pieści, całuje,

o tatusiu opowiada... Bo czy wiesz, że nasz tatuś nie żyje? Opowiada nam pięknie o Panu Jezusie, śpiewamy razem pieśni pobożne. Raz tylko miałam wielkie zmartwienie, kiedy wylałam atrament. Nie mogłam odrobić lekcji tego wieczoru i przepłakałam noc całą. Mama nie gniewała się na mnie i kupiła mi nowy kałamarz.

Jak ja tę Natalcię kocham, coraz bardziej z dniem każdym! Janka również bardzo lubię. Zebrałam wczoraj wszystkie obrazki, jakie miałam, włożyłam w kopertę i przez Nacię posłałam temu chłopczykowi. Mówiła mi nazajutrz Natalcia, że bardzo się ucieszył; on jeszcze nigdy nie miał żadnej zabawki. Dziękowała mi Natalcia tak serdecznie, jakby to ona sama dostała najpiękniejszy prezent. A ja byłam taka szczęśliwa, że mogłam jej zrobić jakąś przyjemność. Jabym jej wszystko oddała, co mam na sobie, tylko że mi panusia nie pozwala. Bo to jest taka przyjemność cokolwiek komuś ofiarować. O, tysiąc razy wolę kogokolwiek obdarzyć jakimś podarunkiem, niż sama zostać obdarowaną.

3 Października.

Teraz sama nie wiem naprawdę, jak mi jest na pensyi: trochę dobrze i trochę niedobrze. Ale już wcale nie płaczę wieczorami. Poznałam się ze wszystkimi pensyonarkami, o, i koleżanki swoje wszystkie znam, nawet nazwiska każdej pamiętam. E! wcale do siebie nie podobne, jak mi się w pierwszych dniach wydawało. Naprzykład Wanda Bohdańska taka poważna, jak pani przełożona; zawsze wszystko umie, zawsze najlepiej odpowie, najładniej napisze, a słucha uważnie na wykładach, ani mrugnie — ta pewno będzie pierwszą uczennicą. Później Stefcia Niwecka — ma pulchną buzię, jasne włoski w dwa warkoczyki uplecione i zawsze na różowej wstążeczce kluczyk od tornistra nosi; ta znowu wielka śmieszka — co chwilę wybucha śmiechem, a szczególnie śmieszy ją ciągle Basia Karnicka, która nosi zawsze białe, wykładane kołnierzyki. Basia jest tęga, ładna dziewczynka, udaje bardzo poważną i zamyśloną; naśladuje wszystkich nauczycieli. Jak czasem stoi przy tablicy, to co chwila jakąś minę po-

każe, naturalnie, gdy nauczyciel nie widzi. A na pauzie, to nam całe przedstawienie urządzi. Raz udaje panią przełożoną, innym razem nauczycieli, to znowu jedną z koleżanek.

Lubię te dziewczynki bardzo. Jeszcze mamy Jankę Lubecką—o ciemnych włoskach i niebieskich oczach; okrutnie gadatliwa, usta jej się nie zamykają. Lubię ją też bardzo, gdyż dobrze się z nią bawię. O innych wspomnę innym razem. Poznałam też bliżej naszą damę klasową; daje nam lekcye czytania i rachunków, pilnuje porządku, podczas pauz z nami zostaje. Bardzo jest przyjemna: wysoka, szczupła, ciemne włosy gładko uczesane, mówi zawsze głosem łagodnym, nigdy nie krzyczy na nikogo i zdaje się, że nas lubi. Prawie jestem o tem przekonana.

Mamy jedną koleżankę Elę Kowieńską, która biedaczka kilka razy z kolei dostała jedności z francuskiego. Panna Wanda — nasza paniusia tak się nazywa—obejrzała dziennik, przywołała Elę i pyta, dlaczego takie brzydkie ma stopnie. Ela, cała czerwona, łzy miała w oczach i słabym głosem odrzekła:
— Nie mogłam się nauczyć czytać.

— A chciałabyś?—pyta ją panna Wanda.

— Chciałabym bardzo, ale mi trudno idzie.

— No, to słuchaj: od dzisiejszego dnia będziesz po lekcjach na pół godziny zostawała, aż nauczysz się czytać ze mną.

I tak się stało. Ela już od paru tygodni nie ma żadnej pałki, co tylko naszej paniusi zawdzięcza.

Czasem którakolwiek z dziewczynek lekcyi wszystkich nie może odrobić, to paniusia tak wytłómaczy ją przed nauczycielem, że ten jej zaraz przebacza.

Sądzę jeszcze i z tego, że nas lubi, gdyż nigdy nam w dzienniczku złych stopni nie pisze. Na początku roku tak do nas przemówiła:

— Moje dzieci, choć was jeszcze dobrze nie znam, jestem wszakże pewną, że jesteście dobre, bo wszystkim wam dobrze z oczu patrzy, wiem, że każda z was chciałaby zostać dobrą uczennicą; wszak prawda? Ale wiem, że nie każdej to się udaje, jedna więcej rozumie, lepiej pamięta, druga mniej, — otóż tak wam poradzę. Słuchajcie tylko uważnie, a gdy która z was czego nie zrozumie, to niech się

mnie spyta, ja zawsze każdej chętnie wytłómaczę. Otóż która zasłuży na dobry stopień, będzie go miała w dzienniczku; a ta, która zasłuży na nagane — nie otrzyma stopnia wcale. Zgadza się?

— Zgadza się! zgadzamy! — zawołałyśmy wszystkie.

Rzecz jasna, każda z nas chciałaby jak najwięcej mieć stopni.

Czasem to sobie rozmawia z nami, ale nie o lekcjach wcale, ot tak — coś nam opowiada o życiu. My się jej nie boimy, tylko bardzo kochamy.

Razu jednego rozgadałyśmy się jak kokoszki, wszczął się taki gwar, że zdawało się, iż go przełożona w swoim pokoju usłyszy. Wtedy paniusia nasza wstała i, nic nie mówiąc, spojrzała na nas: w tej chwili wszystko ucichło. Takie ma oczy, że choć czasem nic nie powie, spojrzy tylko, a już my się domyślimy, o co chodzi.

5 *Października.*

Znowu miałyśmy wyborną zabawę. Nie wiem, czyj to był pomysł, ale znakomity:

urządziłyśmy bal lalek. Każda z nas musiała przynieść do klasy lalkę, pod wielkim sekretem przed nauczycielkami, i ubrać ją jak najładniej. I tak się też stało; we czwartek zebrałyśmy się w klasie trochę wcześniej i oglądałyśmy wszystkie lalki. Mnóstwo było pięknych z czarnymi, z jasnymi włoskami. Były małe, duże, wreszcie rozmaite. Najładniejsza została panną młodą, inne druchnami, jeszcze inne, małe, siostrami panny młodej, a inne gośćmi. Wtem spostrzegamy, że na balu nie mamy ani jednego pana. Zaczęłyśmy się więc naradzać. Stefcia Nimeńska przypomniała sobie, że jej siostra ma lalkę, wyobrażającą górala, więc chętnie jej pożyczy i na wielką pauzę przyniesie.

Tymczasem w szufladce Natalci miała być uczta. Z piórników ustawiliśmy stoły, a na nich poukładałyśmy poczęstunki z biuły, pieczętek i t. p.; tam też siedziała kulawa lalka z dwojgiem dzieci, niby to gość—kaleka, która chciała się koniecznie przyrzec zabawie.

Na czwartej lekcji miał się odbyć bal, a była to lekcya francuszczyzny. W tym celu podniosłyśmy trochę swoje pulpity, żeby łatwiej było przesuwac lalki.

Jedna tylko mądrała Wanda nie brała udziału w zabawie. Przyszła Francuzka, wyrwała do lekcji Zdoniecką.

W parę chwil później Zosia głośno chrząknęła, co miało znaczyć, że cały orszak niebawem rozpocznie zabawę. Lalki zaczęły się posuwać, przechodząc od jednej dziewczynki do drugiej. Jednak zabawa się nie udała, gdyż nasza nauczycielka domyśliła się, co się święci, i wstawszy z krzesła, podeszła do nas, poczem kazała nam otworzyć wszystkie pulpity.

Struchlałyśmy. Jedna na drugą patrzemy, nie wiedząc, co robić. Otwieramy. Słyszałam przytem, jak dwie lalki upadły na ziemię.

Dobra nauczycielka spojrzała na nas jakoś bardzo smutnie.

— A! ładnie, ładnie, niema co mówić. Dobrze. Zobaczymy. Tymczasem niech wszystkie postoją w ławkach do końca lekcji.

Wkrótce dzwonek oznajmił koniec lekcji. Nauczycielka, nic nie mówiąc, wyszła. A my zostałyśmy w największym strachu: co to będzie? co to będzie?

6 Października.

O, straszny dla nas był dzień dzisiejszy! Przychodzimy do klasy i każda z nas pyta sąsiadki:

— Boisz się?

— Boję się — odpowiada zagadnięta.

— A jak myślisz — pyta po chwili Zosia — co nam za to mogą zrobić?

Wnet rozgadały się dziewczynki.

Jedna powiada, że dadzą zły stopień ze sprawowania, inna powiada, że może wszystkie nas do kozy wsadzą, to znowu, że przed rodzicami się poskarżą.

— Dobrze wam tak, dobrze — rzekła Wanda mądralina — nie trzeba było wczoraj dokazywać!...

Ale żadna z nas nic jej nie odpowiedziała, tylkośmy się odwróciły po cichu, mówiąc na nią:

— Mądrala... wielka osoba...

Przyszła nasza paniusia, odmówiła z nami pacierz, zasiadła do lekcyi i nic nie mówi; przechodzi lekcyja druga i trzecia — nic, tylko uważamy, że paniusia jest sztywna z nami, nie gniewa się, ale nie ma tego łaskawego i dobrego spojrzenia, co zawsze. Strach nas przejmuje coraz większy. Na dużej pauzie każe nam zostać w klasie i zamyka szczelnie drzwi. Pobladyśmy ze wzruszenia, a Basia ze strachu aż czkawki dostała.

— Powiedzcie mi, dzieci, co to wczoraj było na czwartej lekcyi? — pyta poważnie paniusia.

— To one wszystkie urządzały sobie zabawę—odpowiada Wanda Bohdańska, dumna wielce z siebie.

Paniusia spojrziała na nią surowo i spytała:

— A tyś miała w tem udział?

— Nie, proszę pani, ja się wcale nie bawiłam.

— A więc nie masz żadnego prawa odzywać się w ten sposób; każdy niech sam za siebie odpowiada; dobra dziewczynka może bro-

nić koleżanki, ale nigdy oskarżać, o tem pamiętaj... I jeśli ci kiedy taka niedobra myśl jeszcze raz do głowy przyjdzie, to ją powstrzymaj.

Wanda, zawstydzona, usiadła na miejscu.

— No, i cóż—żadna z was mi nic nie powie? Przecież uważałyście same, że tego dnia, kiedym się dowiedziała, ani was nie badałam, ani rewidowałam waszych pulpity. Sądziłam, że przez ten czas namyślicie się nad waszym postępkim, uznacie jego karygodność i otwarcie wyznacie przede mną całą prawdę.

A powiedziała to takim dobrym głosem, że mój strach uciekł zupełnie, tylko wstyd samej siebie został. Łzy miałam w oczach, powiedziałam wprost:

— Paniusiu, to ja bawiłam się lalką.

A za mną i druga, i trzecia, i wszystkie wołały:

— To ja, to my, paniusiu, my wszystkie urządziłyśmy bal lalek.

— A ja najwięcej zawiniłam — odezwała się po cichu Natalcia — bo w moim pulpicie odbywał się bal i najwięcej było lalek...

— Paniusiu, ona nic niewinna, bo później wszystkie lalki do mnie przyjechały.

— Dostyc już tego — powiada dama klasowa — przebaczam wam i wierzę, że nigdy się to nie powtórzy. Ale tem obrażyłyście bardzo nauczycielkę języka francuskiego. Musicie więc obmyślić środki, jak ją przeprosić, bo jest na was bardzo rozżalona. Pojutrze będzie jej lekcya, więc sobie obmyślcie, jak to zrobić.

Wtedy rzuciłyśmy się wszystkie do pani i zaczęłyśmy ją całować po rękach, a która nie mogła, to w suknię, w rękaw... Byłyśmy takie szczęśliwe, tak uwielbiałyśmy naszą drogą, kochaną paniusię, jak nigdy jeszcze...

Kiedy spojrzałyśmy na ławki, ujrzałyśmy, że Wanda siedzi podparta i płacze, bo jej pewno przykro było, że tak się wyrwała z oskarżeniem... Spostrzegła to paniusia, podeszła do niej, położyła rękę na jej głowie i powiada:

— Nie gniewam się i na ciebie, Wandziu. Wiem, że będziesz się starała poprawić. Wy, dzieci, także jej przebaczcie, najpierw dlatego,

że to wasza koleżanka, a powtóre dlatego, że ona żałuje swego postępku.

Mnie też trochę żal było Wandy. Więc podeszłam do niej, pocałowałam ją, uspokoiłam, i poszłyśmy na śniadanie do sali.

7 *Października.*

Zdawałoby się, że to łatwo przeprosić osobę, którą się obraziło, tymczasem jest to bardzo trudno. Namyslałyśmy się przez cały dzień, każda z osobna i wszystkie razem, jakby to uczynić; wreszcie z wielkim mozołem coś uradziłyśmy—i to zapewne nie będzie bardzo mądre.

Oto ułożyłyśmy słowa przeproszenia po polsku i postanowiłyśmy prosić naszej kochanej paniusi, ażeby nam je przetłómaczyła na język francuski, — później każda miała na laurce napisać to bardzo pięknie. To przeproszenie mamy złożyć na stole w czasie lekcji. Przytem, skoro tylko nauczycielka języka francuskiego zjawi się we drzwiach, wstaniemy natychmiast wszystkie i jednogłośnie wyrecytujemy owe przeprosiny na pamięć.

A, zapomniałam jeszcze dodać, że umówiliśmy się wszystkie, iż nauczymy się lekcji wybornie. Słabszym paniusia miała dopomóc.

Tak się też wszystko stało. Nauczycielka francuskiego, gdy zobaczyła i przeczytała ładne laurki, uśmiechnęła się do nas i powiedziała:

— Zobaczymy, — poczem zaczęła pytać nas lekcji.

Zapytała siedm uczennic w ciągu godziny i wszystkie dostały piątki. Wtedy wpadła w dobry humor, rozmawiała z nami i rozstałyśmy się w jak najlepszej zgodzie.

Paniusia też była z nas zadowolona.

10 *Października.*

Dziś miałam drugą lekcję o roślinach z mojami nauczycielkami. Nie będę pisała, gdzie i jak ją odbyłyśmy, co mówiłyśmy przedtem i potem, bo zapomniałabym o samym wykładzie, a był bardzo poważny i ciekawy.

Dowiedziałam się, że rośliny oddychają;—

oddychają podobnie jak człowiek: powietrze wchłaniają i wydzielają.

Jeżeli powietrze będzie zanieczyszczone jakimś innym gazem szkodliwym, to roślina żyć przestanie.

Teraz zrozumiałam, dlaczego stary Maciej nie pozwalał nasion kwiatów zasadzać głęboko: gdyż powietrze nie mogłoby do nich przeniknąć. Pewno dlatego moje nasiona nie wszystkie powschodziły, że za głęboko je w ziemię zasypałam, — więc podusiły się, nieboraczki.

Przed zasadzeniem trzeba dobrze ziemię skopać, ażeby powietrze mogło łatwiej dostać się do kiełkujących roślinek. Co prawda, z początku nie bardzo mi się w to wierzyć chciało, więc powiadam do jednej z moich nauczycielek:

— Proszę pani, przecież nigdy oddychania roślin nie widać, — skąd więc można o tem wiedzieć?

A ona mi na to:

— Czy widzisz, jak ja oddycham? Powiesz, że nie tak samo i rośliny oddychają?

I mówiła słusznie. Nie mogę powiedzieć

że nie oddycham. Ale że nie widać tego, to prawda. Jak tylko panienki spostrzegły, że nie dowierzam, zaczęły mi na przykładach tłumaczyć.

— Widziałś kiedykolwiek młodą roślinkę, przykrytą szklanką lub słojem? Zauważyłaś z pewnością, że szklanki i słoje były wilgotne, a czasem zupełnie mokre. Otóż pochodzi to stąd, że para, którą wydychają, skropliła się przy zetknięciu z zimną szklanką. Tak samo mogłaś często widzieć na kwiatach, nawet pokojowych, że na liściach mają one krople rosy; była to też rosa skroplona w zimny poranek.

— Gdybyś była w naszej klasie — mówiła panna Mania — to spostrzegłabyś na listkach małe szpareczki, które to się otwierają, to zamykają w czasie oddychania roślin, zupełnie jak nasze usta.

Szczególnie dużo ich jest na dolnej powierzchni liścia, a są one tak małe, że łebek od szpilki może przykryć kilkadziesiąt szparek.

— Dlaczego mi panie ich nie pokażą? — pytam.

— Dlaczego? Dlatego, stokrotko, że nie

mamy drobnowidza, t. j. szkła powiększającego. A gołem okiem nie dojrzysz.

I prawdę mówiły, że nie dojrzę: nie widziałam, choć długo przyglądałam się listkom. Muszę moim nauczycielkom przeto wierzyć na słowo, bo cóżby im było po tem, żeby mnie zwodziły. Mówiły nieraz:

— Wszystko to prawda, co ci mówimy, stokrotko: tak nam nauczyciel tłumaczył.

Zauważyłam, że gdy która z nich w czemkolwiek się pomyliła, to ją zaraz koleżanki poprawiały.

Mówiły mi jeszcze o jednej rzeczy, ale nie bardzo ją rozumiem. Sama nie wiem, czy mam o tem pisać?... E, lepiej napiszę. Otóż rośliny, otwierając swe szparki, wchłaniają powietrze i chciwie zabierają z niego gaz, który się nazywa „tlenem“, a następnie znowu przez te same otwory wydzielają z siebie parę wodną i także gaz, ale już inny — zwany „kwasem węglanym“. Tego właśnie nie rozumiałam, co to jest tlen i co kwas węglany.

— Tlen—powiadają mi—to taki gaz, co w powietrzu się mieści i bez którego życie byłoby niemożliwem; bez niego udusilibyśmy

się zaraz, i nie tylko ludzie, ale zwierzęta i rośliny; bez niego nie podobna byłoby ognia rozniecić. A gdyby go znowu za dużo było w powietrzu, zapalone przedmioty spłonęłyby w jednej chwili, — życie nasze też byłoby bardzo krótkie.

A kwas węglany, to zupełnie co innego.

W tem miejscu Panna Ada powiedziała coś po francusku do panny Mani.

Nie rozumiałam, co prawda, ale się domyśliłam; pewno mówiła: „Nie opowiadaj jej tego, bo nic nie zrozumie“. Zapewne to, bo panna Mania zaraz wykład przerwała.

— No, to już nie będę się rozwodziła nad tem, tylko ci powiem, że kwas węglany możesz dojrzeć w wodzie sodowej; słyszałaś, jak w syfonach syczy—to właśnie ów gaz wydostaje się na zewnątrz.

A wtedy pomyślałam sobie:

— Czego one ode mnie chcą? Przecież ja powietrza dojrzeć nie mogę, a one każą mi tlenu szukać w powietrzu, albo kwasu węglanego w wodzie sodowej. Przykro mi, że nie mogę wszystkiego jeszcze zrozumieć. Jak to dobrze, że nie siedzę w klasie III: spaliłabym

się ze wstydu przed nauczycielem, że tak mało rozumiem. W obec panienek też mi było przykro. Jak się zarumieniłam przy tym tlenie, to do końca lekcyi byłam już ciągle jak rak czerwona.

Podziękowałam moim nauczycielkom i już chciałam odejść, a one mi na to:

— A, za pozwoleniem, stokrotko, jeszcze musisz wydać lekcyę. Musisz na trzy pytania odpowiedzieć. Czego potrzebują do życia rośliny?

— Powietrza czystego—odpowiedziałam.

— Dobrze. Drugie pytanie. Co rośliny wchłaniają w siebie z powietrza?

Na to spuściłam oczy i bardzo po cichu odpowiedziałam:

— Tlen, zdaje mi się, ale niech się panie nie gniewają, bo ja naprawdę nie znam tlenu i nigdy go nie widziałam.

Panienki się roześmiały, popieściły mnie trochę i dodały:

— Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi. A teraz trzecie i ostatnie pytanie. Co wydzielają rośliny przez wydychanie?

— Parę wodną i kwas węglany, ale też go nie znam.

— Poznasz później, stokrotko, i tak dosyć wiesz. A za dobre odpowiedzi dostaniesz nagrodę.

I każda z nich coś mi ofiarowała. Panna Ada małe, okrągłe pudełko z czekoladkami, panna Mania trzy ładne pieczątki, a panna Janina mały notesik.

Byłam bardzo rada i z lekcyi, i z moich nauczycielek, i z prezentów, i z pensyi. Bo też przekonałam się, że mi jest tu bardzo dobrze.

1 Listopada.

Straszny miałam dziś sen. Dreszcze mię przechodzą, gdy o nim pomyślę.

Śniło mi się, że wszystkie dzwonki, jakie były na pensyi, naraz zaczęły dzwonić. Zerwałyśmy się na równe nogi. Lokaj drzwi otwiera — wtem wchodzi tlen: człowiek cały z ognia, włosy z iskier; ręce i nogi — to były głównie rozpalone, a z ust mu płomień buchają. Wszystko, czego się dotknie, zaraz

zapala. Spalił się przedpokój, krzesło, stół, zwęglił się lokaj, później jedna dama klasowa, panna Amelia; z klasy IV przeszedł przez V-ą i cała klasa spaliła się z uczennicami razem. A tlen idzie coraz dalej, coraz dalej, już do naszej klasy się zbliża, bierze za klamkę... Krzyknęłyśmy, a wtem innemi drzwiami wchodzi kwas węglowy, siwy staruszek, cały obwieszony syfonami wody sodowej, na nogach, na rękach, na plecach, na szyi. Obaj przybysze spojrzeli na siebie złośliwie, bo bardzo się nie lubili. Tlen zaczął rzucać na kwas węglany gorące płomienie, a kwas węglany nacisnął korki i ze wszystkich syfonów wytrysnęła woda: istna fontanna zalała tlen... Ale dalej nie wiem co było: wkrótce się obudziłam. A szkoda, bo nic nie wiem, kto kogo pokonał.

Później długo spać nie mogłam, serce mi biło jakby młotem. Przecież wiem, że to sen, że tego wcale nie było, a jednak jakoś się boję.

Opowiedziałam mój sen Natalci. Śmiała się ze mnie, że taką bajkę sobie wyśniłam.



... i ze wszystkich syfonów wytrysnęła woda.

8 Listopada.

Wczorajszy dzień był dla nas bardzo smutnym. Nauczycielka języka polskiego przyszła do klasy na lekcję w bardzo złym humorze. Odrazu to poznałyśmy, gdyż wcale na nas nie patrzyła. Siedzimy cicho, jak myszy, a każda z nas w duchu prosi Boga, żeby jej dziś lekcyi nie pytano.

Inaczej się jednak stało, gdyż nauczycielka zapytała prawie całą klasę. Jakby umyślnie, wszystkie uczennice dziś źle odpowiadały. Nawet nasza „mądrala“ trójkę tylko otrzymała.

Oprócz tego, nauczycielka znalazła u jednej z nas kajet w nieporządku; drugiej dostało się za to, że zapomniała, jak będzie trzeci przypadek od rzeczownika „cielę“.

A Zosia-śmieszka musiała przez pół godziny stać za to, że z sąsiadką swoją zaczęła o czemś rozmawiać.

Ja się tak strasznie bałam, tak bałam, że aż mi mrowie po skórze przechodziło!

Wzięłam Natalcię za palec, mocno ścisnęłam pod ławką, nie patrząc na nią. A ona

zrozumiała, że się strasznie boję, bo też mnie ścisnęła za trzeci palec.

Godzina tej lekcji wlokła się bez końca. Nareszcie i ja zostałam wyrwaną. Przeżegnałam się w myśli i zaczynam czytać zdanie oraz robić rozbiór.

— Cóż tam znowu bąkasz tak cicho? — mówi do mnie surowo nauczycielka.

— O — myślę sobie — źle będzie ze mną. Podnoszę głos, a oczy już mam łez pełne.

Wtem rozległ się dzwonek. Lekcja skończona.

— Chwała Bogu! — wszystkieśmy westchnęły.

Nauczycielka wyszła, a żadna z nas z miejsca się nie rusza. Zosia Niniecka płacze, Mania Płochecka także, bo stopnie niedobre dostały; Andzia Dygasówna otrzymała surowe napomnienie, więc też siedziała zmartwiona. Słowem, każdej się coś oberwało.

Smutno było w klasie.

Przychodzi paniusia nasza, zagląda do dziennika, popatrzyła na nas badawczo i pyta:

— A cóżeście się dziś tak brzydko spisały? To wcale nie nasza wina — odpowiedziała

Zosia Niniecka.—Nauczycielka dziś gniewała się bardzo na nas, lecz bez przyczyny.

— O, moje dziewczynki—powiada nasza panusia—jeżeli to prawda wszystko, co Zosia mówi, to przyznam się, że jesteście niesprawiedliwe. Czyście kiedy pomyślały o tem, że wasza nauczycielka mogła mieć ważny powód, ażeby być dziś mniej niż zwykle cierpliwą i pobłażliwą? Mogła mieć jakie zmartwienie, może jej co dolega, a zostać w domu nie chciała, bo wie, że kilkadziesiąt uczennic na nią czeka. Wie, że jeśli nie przyjdzie, kto inny będzie musiał ją zastąpić, a każdy nauczyciel i nauczycielka ma dużo, dużo pracy. Być może, z największym wysiłkiem zdobyła się na wytłómaczenie jakiegoś przepisu, a tu spostrzega, że uczennice nie uważają, jakby należało... Nie dziwcie się więc, że wówczas jest dla was mniej pobłażliwą, że każdy błąd wasz, każda swawola drażni ją więcej, niż zwykle. Bądźcie wyrozumiałe w takich razach i usiłujcie być wówczas wzorowymi uczennicami. Innym razem, gdy będzie spokojniejszą, pogodniejszą, przebaczy wam niejedno uchybienie, dziś każdy wasz

błąd drażni ją podwójnie. Gdy dorośnecie, dowiecie się wtedy, jaka to jest ciężka praca być nauczycielem.

Słowa paniusi sprawdziły się.

Z nauczycielką języka polskiego rzeczywiście musiało się stać coś niedobrego, gdyż dziś na lekcję nie przysłała. Może ona sama, albo w rodzinie jej ktoś zachorował niebezpiecznie?

25 Listopada.

Zastępując nauczycielkę języka polskiego, paniusia nam opowiedziała bardzo ciekawą historyjkę. Tytuł jej: „Jagusia“.

„Długa i mroźna zima strasznie ludziom dokuczała, aż wreszcie przyszedł na nią koniec.

Słońce, jakby chcąc wynagrodzić krzywdy popełnione przez zimę-okrutnicę, zaczęło ciepłej i coraz dłużej przygrzewać — i promienie swoje posłało wszędzie: do lasu, na pola, do ogrodów, na podwórka, do wszystkich

wód, skutych jeszcze w mocne kajdany lodowe.

Posiniała rzeka — znać woda poczuła, że nowe siły w nią wstępują, że może dziś z lodem wystąpi do walki, i ufa, że dziś słońko jej dopomoże.

I nie zawiodła się.

Pewnego dnia słońce wzeszło pogodniejsze, niż zwykle, a że niebo było czyste, żadna chmurka nie stała na przeszkodzie, więc słońce cały snop ciepłych promieni rzuciło na ziemię.

Trach!... rozległ się donośny wystrzał. To lody pękają; w chwilę potem duże bryły lodowe oderwały się.

W tej samej chwili z ubogiego domku wypadła kobieta. Głowę miała odkrytą, oczy nieprzytomne. Leciała wprost do rzeki, wołając rozpaczliwie:

— Dziecko, moje dziecko! Ludzie litościwi, pomóżcie: dziecko mi na lodzie zostało!

Przechodnie, litością zdjęci, zbliżają się do kobiety, pytają, co się stało, jakim sposobem małe dziecko mogło na lodzie zostać?

Ale od biednej i prawie nieprzytomnej

matki niewiele mogli się dowiedzieć. Domyślali się tylko nieszczęścia.

Tłum biegł razem z nieszczęśliwą kobietą, która dążyła w stronę rzeki. A kiedy stanęli u brzegu, zdaleka, na dużej bryle, rzeczywiście spostrzegli małego chłopca.

— Janku, sokole mój! — woła matka, wyciągając ręce i bez namysłu chce rzucić się do wody.

— Kobieto, miejcie rozum! — zatrzymują ją sąsiedzi — czyż nie widzicie, że lód potrzaskany, że za lada stąpięciem wpadniecie do wody?

— Puśćcie mnie, puśćcie! — woła kobieta — muszę go ratować!

I co miała siłą, wyrywała się z rąk ludzi.

Tłum coraz się zwiększał. Wszyscy byli przejęci wypadkiem, każdy radził jak mógł, kobiety płakały razem z nieszczęśliwą matką, rozumowały, że Bóg łaskaw, może cudem jej dziecko ocali.

Mężczyźni znowu naradzali się nad środkami uratowania chłopca — ale sposobu nie było. Bali się wejść na lód kruchy.

— Co to? — zawołano z tłumu — ktoś idzie!

Wszyscy obrócili się w stronę rzeki.

Po lodzie ostrożnie stąpała mała dziewczynka. Poznali ją wszyscy — to Jagusia, córka wyrobniczy.

— O la boga, la boga, zginie teraz dziewczucha! Jagusiu, wracaj!... — krzyczą — wracaj!... utoniesz!...

Ale dziewczynka ani myśli wracać. Słyszała ona krzyk matki Janka, spłakała się z nią razem, a widząc, że jej nie puszczają, że dwóch silnych mężczyzn ją trzyma — sama pośpieszyła na ratunek dziecku.

— Matko Przenajświętsza — wołają — ulituj się nad nimi, nie daj zginąć tak marnie!

Jagusia lekko stąpała po lodzie, czasem lód się pod nią załamywał, noga do wody wpadała, ale wtedy dziewczynka zręcznie ją wyciągała i znowu szła dalej. Za chwilę już będzie przy dziecku.

Chłopiec mały siedział i nie rozumiał, co się z nim dzieje. Ze strachu nawet płakać zapomniał.

Jagusia wzięła go za rękę i jeszcze ostrożniej stąpa...

Ale wtem, jakby się przerwało w rzece, łód coraz więcej pękał, bryły odrywały się od brzegu, włąziły jedna na drugą, tworzyły góry lodowe, to znów uderzały o inne bryły i rozpryskiwały się na drobne kawałki. Gdzieś tam dostawała się woda zszumem i gwałtownie krę porywała, jedną pędziła przed sobą, drugą rzucała, trzecią znowu wysadzała w górę.

Po drodze zabierała strumyki i rzeczki i coraz wyżej a wyżej wznosiła swe wody.

Jagusia wiedziała, że iść dalej niepodobna. Zatrzymała się na dużej płycie lodowej i czekała... Widziała, jak ta, choć wolno, ale posuwała się coraz dalej, coraz dalej, już zaraz miasteczko minie, a wtedy... Wkrótce i do owej dużej bryły lodowej woda się dostała, zaczęła miotać nią w jedną i w drugą stronę, tak iż biedne dzieci, ażeby nie wpaść do rzeki, musiały się trzymać rękami brzegu bryły.

W końcu minęły miasteczko.

Tłum zaczął się rozchodzić. Biedna matka, jakby skamieniała, siedziała teraz na brzegu, nie mając sił biedz dalej. I tylko trzech litościwych ludzi podążyło w kierunku

sąsiedniej wioski, ażeby uprosić rybaków o pomoc.

Rzeka coraz gwałtowniej wzbierała, pieniała się, syczała, jęczała, jedne fale pokrywały inne, zabierały wszystko, co napotykały po drodze — drzewo, słomę, deski... Później wody wezbrały, zatopiły łąki, pola, ogrody... ale to był już ostatni wysięk fal.

Uspokoila się nareszcie rzeka i tylko kiedy niekiedy pędził po niej jakiś spóźniony kawałek lodu.

Ku wieczorowi rozeszła się po mieście radosna wieść, że dzieci zostały uratowane. Dokonali tego rybacy z sąsiedniej wioski, wywijając zręcznie wiosłami.

— A to mi zuch dziewczucha! — powtarzali ludzie.

— Dziewucha niby chłop, taka śmiała — żartowały dziewczęta.

— Jabym tam nie poszła — mówi jedna.

— Ani ja — odzywa się druga.

Matka dzielnej dziewczyny przed chwilą dopiero dowiedziała się o wszystkim, bo na robocie była. To też strasznie się przeraziła, gdy ujrzała rybaka, niosącego jej córkę naręku.

Jagusia ze strachu tak osłabła, że iść o własnych siłach nie mogła.

W nocy dostała gorączki i nieprzytomna leżała przez kilka dni. W malignie wołała wciąż o ratunek, żegnała się z matką, sądziła, że już wpadła do wody... że ją ryby gonią, potwory jakieś straszą.

Cała wioska była zaniepokojona i dowiadywała się o zdrowie dziewczynki.

Nie było teraz człowieka dorosłego ani dziecka, którzyby o Jagusi nie wiedzieli, a wszyscy podziwiali jej odwagę i dobre serce.

Dopiero po sześciu tygodniach od czasu owego wypadku Jagusia po raz pierwszy wyszła na ulicę.

Wielka to była radość dla wszystkich mieszkańców miasteczka.

Każdy z uciechą witał dziewczynkę, każdy rad był powiedzieć jej łaskawe słowo, na dobre dziecko popatrzeć.

— Jagusiu — pytają dzieci w szkółce — bardzo się bałaś siedzieć na lodzie?

— E, co tam!... bałam się tylko trochę...

— Poszłabyś tam jeszcze?

— A jużci, żebym poszła. Jak mię żal znowu za dzieckiem ogarnie—to i pójdę.

A matka uratowanego dziecka to słów nie ma dla Jagusi. Błogosławi ją i prosi Boga, aby jak największem szczęściem obdarzył tę dzielną dziewczynkę“.

30 Listopada.

Mogę powiedzieć, że dzisiejszy dzień spędziłam bardzo pożytecznie. A stało się to dzięki pannie Adzie, owej panience o jasnym długim warkocz.

Zdaje mi się, że ona mnie lubi. Co prawda, nie mówiła mi tego, ale ja się domyśliłam, bo tak o mnie zawsze pamięta, tak mię pieści... Z początku trochę jej się bałam, bo jest taka wysoka, poważna, taki długi ma warkocz. Ale przekonałam się, że to nic jej do dobroci nie przeszkadza, gdyż jest łagodna, jak anioł, a najważniejsza rzecz, że mnie lubi i gdy...

Ech, znowu się rozgadałam. Ogrodnik Maciej dzienniczka nie będzie chciał czytać, powie, że same głupstwa w nim piszę. Już

na przyszłość to tylko notować będę, co nam się przyda w przyszłości.

Ale muszę napisać, jak się to odbyło. Sta-
ję sobie dziś wieczorem przy oknie i myślę
o tej Jagusi, o której nam pani opowiadała.
Ach, jaka ona była dobra, jak chciała wyra-
tować owego chłopca! A przecież sama mo-
głaby była utonąć...

Czy też ja zrobiłabym tak, czy nie?

Raz mi się zdaje, że poszłabym za przy-
kładem Jagusi, to znowu ogarnia mnie taki
strach: łódź się załamie, woda zaleje, utonę...

A przecież nie można dać zginąć dziecku!

I tak może-bym do wieczora była rozmy-
ślała, gdyby nie panna Ada.

— Naciulko—zawołała—chodź do naszej
klasy, mam ci coś do opowiedzenia.

Wzięła mnie za rękę i poszłyśmy do klasy.

Pokój był duży, ławki też większe od na-
szych, na ścianach zawieszono figury gipsowe,
mapy geograficzne i obrazy, na których na-
malowane rozmaite zwierzęta.

Panna Ada kazała usiąść przy sobie i roz-
winęła paczkę papierową, w której ujrzałam
ziemię zwyczajną.

— Czy taką macie ziemię w swoim ogródku?—pyta.

— Taką samiusieńką — odpowiadam. — I tak mi przypomniała mój ogródek, że byłabym ją pocałowała, ale się zawstydziłam panny Ady.

— Jak ci się zdaje, Naciu, czy taka ziemia sięga głęboko?

— Zapewne, bo Maciej zanurzał łopatę czasem bardzo głęboko i ciągle trafiał na czarną ziemię.

— A widziałaś kiedy głęboki rów, albo dół wykopany?

— Widziałam, kiedy na studnię dół wykopano... Prawda, tam już była nie ziemia, tylko piasek.

— Otóż pamiętaj, że ziemia czarna jest tylko na powierzchni, pod nią zaś leży glina, piasek, kamienie, wapień. Przyjrzyj się dobrze temu, co w tej ziemi znajdziesz.

Rozejrzałam się uważnie i oddzieliłam odrobinki piasku, gliny, parę drobnych kamyczków i czarną ziemię.

— A wiesz, co to są te grudki czarnej ziemi? To próchnica, albo czarnoziem; po-

wstała zaś ona z samych ciał gnijących: czy to liście stare spadną na ziemię, czy łodyżka, czy korzenie lub kwiaty—wszystko to gnije; rozmaite żywe stworzenia giną: myszy, krety, turkucie, motyle, mrówki — po śmierci leżą w ziemi i też gniją; najpierw ciemnieją, później czarnieją, a gdy woda je raz i drugi spłóczy, rozdrabniają się i z tego tworzy się próchnica.

— Wiem, proszę pani, coś mi o tem ogrodnik wspominał, gdy wszystkie śmiecie z podwórka i śmietnika na jesieni do ogrodu naszego zwoził. Mówił też, że to pokarm dla naszych kwiatów.

— A tak, w ziemi, która zawiera dużo próchnicy, najlepiej kwiaty rosną. Nauczyciel pokazywał nam takie doświadczenie. Wziął ziemi na małą, cienką, blaszaną łyżkę i trzymał nad lampką spirytusową. Ziemia zaczęła dymić i poczułyśmy przykry zapach zgorzelizny. „To próchnica się pali“—rzecze nam profesor. I rzeczywiście, po chwili dym ustał, a w łyżce pozostała ziemia — ale inna; patrz, przyniosłam ci ją do pokazania.

Wtedy zobaczyłam w szarej kupce ten

sam proszek, tę samą glinę, ale zamiast próchnicy—był popiół.

Zapytałam panny Ady, dlaczego ziemia bywa dobra i niedobra?

— Właśnie chciałam ci powiedzieć, że czasem ziemia zawiera za dużo gliny, a glina, jak wiesz, nie prędko się rozpuszcza i zatrzymuje wodę; wtedy grunt jest za wilgotny i korzenie roślin mogą podlegać gniciu. Czasem znowu grunt zawiera za dużo piasku, a wówczas woda za prędko ucieka z ziemi: grunt będzie suchy i roślina, nie mając pożywienia, uschnąć może. Otóż domyśl się, czego potrzeba, ażeby grunt był dobry?

— Trochę piasku, trochę gliny i dużo próchnicy,—prawda, proszę pani?

— Prawda. Dlatego to ogrodnicy i gospodarze starają się o dobry grunt.

Maciej też tak robi, ale skąd on o tem może wiedzieć, bo i na pensyi nie był i żaden go nauczyciel nie uczył, a tak postępuje, jak uczony. „Z własnego rozumu“ — odpowiada mi. A dlaczegoż ja nic z własnego rozumu wysnuć nie umiem? Może ja wcale nie mam

rozumu? Mnie się też często zdaje, że jestem bardzo niemądra.

Z czego próchnica pochodzi, to już wiem, zrozumiałam dobrze. Ale skąd się piasek bierze i glina na świecie? Pewno i Maciej nic o tem nie wie.

Pytałam się o to panny Ady. Odpowiedziała na to, że w niedzielę mi opowie, bo już nauczyciel o tem jej wykładał.

Podziękowałam jej za ciekawe wiadomości i pomyślałam: „Dobrze, że nie opowiadała o piasku, bo zawiele miałabym na dziś w dzienniczku.“

8 Grudnia.

No, i żeby też nie wiedzieć, skąd pochodzi i jak się tworzy tak zwykła rzecz, jak piasek! Doprawdy to wstyd, boć przecie na każdym niemal kroku piasek widzimy — tymczasem tak mało o nim wiemy.

Sądziłam, że tylko ja jestem taka pod tym względem zacofana, ale gdzie tam! Przekonałam się dziś, że i inne dziewczynki tak samo nie wiele co więcej odemnie umieją.

A było to tak:

W niedzielę kochana panna Ada dotrzy-
mała obietnicy i opowiedziała mi, w jaki spo-
sób piasek powstaje. Zrozumiałam wszystko.
Otóż chcąc się przekonać, czy która koleżan-
ka już o tem wie, zapytałam jednej i drugiej,
czy nie wiedzą, skąd się piasek bierze?

— Z wody, z Wisły albo z pola przywożą—
odpowiadają.

— Dobrze, ale skąd się w wodzie wziął?—
Na to mi żadna odpowiedzieć nie mogła. A ja
się w duchu śmiałam, bo wiedziałam o wszy-
stkiem, tylko nie chciałam z tem się wydać...
Gotoweby jeszcze koleżanki posądzić mnie
o chęć przechwalania się.

— A ty wiesz?—pyta Natalcia.

Nic na to nie odpowiedziałam, tylko mru-
gnęłam oczyma.

— No, to powiedz mi, skoro wiesz—pro-
siła.

— Później!—szepnęłam jej do ucha.

W czasie przerwy pobiegłam prędko do
sypialnego pokoju, wyjęłam z kufierka mój
dzienniczek i wydarłam obie kartki, w któ-

rych pisałam o piasku. Przyszyję jutro obie kartki i będzie dobrze.

Naciulka się bardzo ucieszyła.

Zawinęłam kartki w małą paczkę i nieznacznie wsunęłam pod fartuszek Natalci. Boję się, czy tylko kto tego nie spostrzegł. A byłaby to rzecz niepożądana, gdyby którakolwiek z pańienek dowiedziała się o tem. Zaraz zaczęłaby się dopytywać, nudzić, wyśmiewać—a ja przecież nic nikomu bym powiedzieć nie mogła, bo to przecież wielki sekret.

Wydarte kartki z dzienniczka Naci.

...Przynosi mi panna Ada całą garść kamieni.

— Pani miała mi dziś opowiedzieć, jak się piasek tworzy, a chce mówić o kamieniach. Zapomniała pani zapewne? — pytam zdziwiona.

— Wcale nie—odpowiada poważnie moja nauczycielka — właśnie po to ci przyniosłam kamienie, ażeby o piasku opowiedzieć. Z tego powodu nauczycielka wczoraj zgniewała się na mnie podczas przechadzki.

— Dlaczego?

— A bo widzisz, chodziło mi o to, żeby ci przynieść te oto kamienie. Więc uprosiłyśmy pannę Alicyę, że pójdziemy na spacer w Aleje Ujazdowskie. Widziałaś tam kamienie przy drodze: stamtąd ja wzięłam owe kamyki. Musiałam opuścić moją parę, ażeby dostać się do kamieni, co właśnie rozgniewało nauczycielkę. Znasz te kamienie?

— O! znam—to szare okrągłaki... Na wsi całe pole mamy nimi usiane... To brukowiec, prawda, proszę pani?

— Możesz i tak nazywać, ale prawdziwa naukowa nazwa tego kamienia jest granit. A te drobne kawałki, to też granit, tylko rozbity. Przyjrzyj się teraz dobrze temu kawałkowi: jakie widzisz na nim barwy?

Przyjrzałam się i zobaczyłam czerwone plamki, białe i czarne—a z początku zdawało mi się, że kamień jest cały różowy. Jak to dziwnie!

— Widzisz więc sama, że brukowiec nie stanowi masy jednolitej, tylko składa się z ziarn odmiennego koloru. Weź szpilkę, może ci się uda wydostać jakie ziarenko.

Próbowałam długo, aż udało mi się odłu-

pać owe czarne, cienkie blaszki; a wtedy dostrzegłam, że mają silny połysk.

— Teraz uważaj: te blaszki czarne są to ziarnka kamienia, który się nazywa mika. Białe są to ziarna kamienia kwarcu-twardego, mocnego. Widzisz, nie mogłaś go wydość. A ten różowy, to jest też kamień, który się nazywa szpat polny. Wszystkie te ziarna są mocno ze sobą spojone. Z nich kwarc i mika są bardzo trwałe, nic ich nie zdoła rozpuścić, ani zmienić; ale szpat polny z czasem wietrzeje i może być przez wodę uniesiony. A cóż się wtedy staje z innymi ziarnami w granicie: z kwarcem i miką, które szpat polny spajał i trzymał? Oto rozpadają się i rozsypują! Mika jest lżejsza, więc ją woda czasem dalej zanosi, a ziarnka kwarcu upadają na dno rzeki i tworzą piasek.

— Proszę pani—pytam — przecie granitowych kamieni jest nie tak dużo, a piaskiem prawie wszystkie rzeki są przepełnione, a i na polach tak wiele go widać?

— A bo ty całej ilości granitu nie widziałas. Nie masz wyobrażenia, jak go jest dużo na świecie. Nauczyciel powiada, że są całe

niezmierzone pasma gór granitowych i że te wszystkie kamienie, brukowce, to rzeki z gór do nas przyniosły.

— A z nich pod wpływem wody i powietrza piasek się robi, którego w ten sposób nigdy nie zbraknie.

— Nigdy, prawda. Mam tu oto dla ciebie szczyptę piasku—powiada panna Ada, podając mi torbę papierową.

Ucieszyłam się bardzo, bo właśnie w tej chwili ogromną miałam chęć przyjrzeć mu się. Dziwna jednak rzecz: tyle razy piasek miałam w rękę i nigdy nie był dla mnie zajmującym. Za to teraz odrazu znalazłam białe ziarnka kwarcu, gdzieniegdzie także ziarnka miki błyszcząły. I ten sam dawno mi znany piasek zupełnie, zupełnie mi się teraz innym wydał.

Rzuciłam się więc na szyję tej złocistej mojej nauczycielce i całowałam ją, całowałam, aż mi powiedziała:

— Dość tego, na śmierć mnie zacałujesz.

— Dobrze, panno Ado, dosyć. A teraz za Macieja pani dziękuję, bo on też bardzo się ucieszy, gdy się dowie, skąd piasek pochodzi.

I pocałowałam w rękę pannę Adę, jak to robi ogrodnik, gdy mojej babci za co dziękuje.

Panna Ada okropnie się oburzyła, choć nieco się przytem uśmiechała, i powiedziała:

— Nie rób tego nigdy, bo się na dobre pogniewamy.

12 Grudnia.

Biedna panna Wanda! biedna nasza nauczycielka języka polskiego! Straciła ojca. Wczoraj był pogrzeb. Jaka ona musi być zmartwiona! Stracić ojca — to wielkie nieszczęście.

Pamiętam, jak łzy płynęły z oczu Macieja, gdy opowiadał o śmierci ojca swego.

Ja moich rodziców nie pamiętam—umarli, gdy byłam bardzo mała.

Przed lekcyami paniusia powiedziała nam o nieszczęściu, jakie spotkało pannę Wandę, i tak zakończyła:

— Mam nadzieję, dziewczynki, że zrozumiecie zmartwienie waszej nauczycielki i usza-

nujecie jej boleść. Zachowajcie się podczas lekcji tak, jak wam sumienie nakazuje.

Lekcja języka polskiego miała być czwartą z kolei. Czekaliśmy jej z niecierpliwością.

Nareszcie zadzwoniono.

Prędko usiadliśmy w ławkach, każda z nas wyjęła książki i przyszykowała wszystko, czego potrzeba do lekcji; pościerałyśmy na przyjęcie nauczycieli kurz ze stołów i biórka, niektóre dziewczynki miały włosy potargane, więc jedna drugiej je przyglądała, ażeby porządniej wyglądać.

Weszła panna Wanda blada bardzo, włosy gładko uczesane, w czarnej żałobnej sukni z krepą koło kołnierzyka i rękawów, a wielki smutek przebijał się na jej twarzy. Wydała mi się przytem taka miła, taka dobra, że odrazu straciłam cały żal, który do niej miałam niegdyś.

Jaka ona biedna! — pomyślałam sobie — tak-bym ją ucałowała w te zażawione oczy!

Lekcja rozpoczęła się od czytania.

Niektóre dziewczynki nie bardzo dobrze czytają, zacinają się — i przykro mi było, że nie tak dobrze idzie, jakby należało. Ale zato

muszę przyznać, że wszystkieśmy bardzo uważały; żadnego gadania, żadnych figlów nie było w klasie—cisza, jak makiem zasiał, tylko co jakiś czas spoglądałyśmy na nauczycielkę.

Potem pisałyśmy dyktando; zapewne musiały w niem być błędy, ale starałyśmy się pisać najładniej, a nawet wyraz „dyktando“ podkreśliłyśmy z Natalcią dwa razy, żeby piękniej wyglądało.

Po skończonej lekcji, nauczycielka wstała i nie podnosząc głowy, rzekła:

— Do widzenia wam, dzieci!

A wtedy Andzia Puchalska, która siedzi na pierwszej ławce i ma duży warkocz, wyskoczyła z ławki, prędko podbiegła do pani i w rękę ją pocałowała, a za nią zaraz druga i trzecia, tak że każda z nas choć paluszek nauczycielki chciała pocałować.

— Prawda, że dobra jest panna Wanda?—mówi Andzia, gdy nauczycielka wyszła.

— O, bardzo dobra—odpowiedziało kilka głosów.

— Przebaczymy jej wszystko, zgadzacie się?

— Zgadząmy się, zgadzamy!

— I pokochajmy ją—radzi Natalcia—ona taka smutna!

— Prawda, dlaczegobyśmy nie mogły jej pokochać?—niech będzie naszą ulubioną nauczycielką.

— Dobrze, dobrze, dobrze! — krzyknęłyśmy na cały głos—będziemy ją kochały bardzo!

Poczem wzięłyśmy się z Natalcią pod ręce i pobiegłyśmy na pauzę do sali.

Piątą lekcję miałyśmy francuską. Jak zwykle nauczycielka kazała nam tłumaczyć, dyktowała i pytała słówek.

Wtem wyrywa Manię Dąbrowską, a to biedactwo wyjść z ławki nie może.

Cóż się okazuje?

Zosia, siedząc z tyłu, niepostrzeżona szepiła warkocze obu sąsiadujących dziewczynek, Mani Dąbrowskiej i Toli Zienkowskiej.

— Dąbrowska, czemu nie wychodzisz? Czy nie słyszałaś, że cię do tablicy proszę?—pyta surowiej nauczycielka.

— Kiedy nie mogę, proszę pani — odpo-

wiada Mania, z oczami pełnymi łez, napróżno usiłując odczepić włosy.

Nauczycielka, nie wiedząc, o co chodzi, sądziła, że Tola jej przeszkadza, więc ostro przemówiła:

— Zieńkowska, wyjdź z ławki.

A wtedy obie dziewczynki ze szczepionymi warkoczami musiały przejść przez całą klasę.

Wszystkie uczennice zaczęły się na głos śmiać. Mnie, co prawda, żal było Mani i Toli; ale też nie mogłam się powstrzymać, bo to wyglądało bardzo zabawnie.

Spostrzegłszy, o co chodzi, nauczycielka podeszła do zawstydzonych dziewcząt i rozplątała im warkocze.

Domyśliła się, czyja to była sprawka, i powiedziała Zosi, że za taką swawolę będzie musiała godzinę zostać w klasie po lekcji.

Zosia też się wcale nie zapierała, bo wiedziała, że to na nic. Ale musiało jej być bardzo przykro, bo głowę spuściła i już zasmuciona siedziała do końca lekcji. Zadzwoniono nareszcie. Po modlitwie wszystkie uszykowa-

łyśmy się do odejścia. Tylko Zosia siedziała spokojnie przy stoliku.

Koleżanki podchodziły do niej, żegnały się, jedne żalowały, inne, jak umiały, pocieszać chciały.

— Czemuś ty to zrobiła?—pyta Natalcia.

— Sama nie wiem—odrzekła Zosia smutnie.

Chciałam przy niej zostać, ażeby jej nie tak smutno było odsiadywać karę. Ale kaza-no mi iść na przechadzkę, więc musiałam ją pożegnać.

17 Grudnia.

Jak wyrastają rośliny? Odpowiedź na to dała nam panna Mania podczas dzisiejszej lekcji. Zdawało mi się, że ja o tem już wiem, jednak pomyślałam sobie:

— Niech tam panna Mania mówi. Nie będę jej przerywała.

Przekonałam się wkrótce, że się pomyli-łam. Wiem coś o tem, ale nie tyle, ile po-trzeba.

— Ziarno rzucone w ziemię—mówiła mo-ja nauczycielka botaniki—leży jakiś czas spo-

kojnie. Po pewnym czasie woda wsiąka przez skórkę w środek i ziarno pęcznieje coraz bardziej, aż w końcu skórka pęka i z ziarna wydostaje się mały kielek, który zagłębia się w ziemię, oraz łodyżka, która pnie się do góry.

Zalążek rozrasta się i kielkuje, ale maleństwo jest jeszcze takie słabe, że nie umie dla siebie pokarmu wyciągnąć ani z ziemi, ani z powietrza: jedynym jego pożywieniem jest właśnie ów materiał, nagromadzony w ziarenku, a który teraz zamienił się cały w cukier (jakim sposobem to się stało, o tem podobno dowiem się w klasie IV) i powoli rozpuszcza się w wodzie. Tą właśnie wodą cukrową odżywia się nasienie. I tak, mając dobre pożywienie, zarodek się powiększa, rośnie do góry i na dół, a nasienie coraz to zmniejsza się i zmniejsza; inaczej nie może być, gdyż materiały pożywne wciąż rozpuszczają się w wodzie i wsiąkają w młodą roślinkę.

— A gdy cały materiał zapasowy ziarna zużyje się—zapytały mnie stojące w pobliżu dwie starsze panienki—co się wtedy z rośliną stanie? Odpowiedz, stokrotko!

A ja taka niemądra, jakby przyłapana, nie wiedziałam sama, co mam odpowiedzieć. Przecież drugie ziarno na pomoc nie przyjdzie! Wzruszyłam ramionami, co oznaczało, że nie wiem i nic nie odpowiedziałam.

— Młoda roślinka już do tego czasu tak wzmocni się, że korzonki same potrafią wyciągnąć soki z ziemi, a listki gazy z powietrza,— słowem zacznie żywić się, oddychać, rosnąć i żyć, jak wszystkie roślinki. Zrozumiałaś, stokrotko?—pyta panna Mania.—Przyniosłam ci ziarenka grochu i fasoli, rozmoczone w wodzie: pokaż, gdzie jest skórka, załążek i reszta materiału pożywczego?

To nietrudno było odszukać: najpierw zdjęłam z grochu skórkę, a wtedy ziarenko rozpadło się na dwie części, w środku zaś zobaczyłam zarodek roślinki, a nawet dwa malusieńkie listeczki żółte; resztę stanowi materiał potrzebny do odżywiania rośliny. Zabrałam to z sobą, pokażę Natalci.

— Ażebyś lepiej pamiętała—mówi panna Mania—odrysowałam ci ziarenka w przecięciu.—Mówiąc to, podała mi rysunek.

Podziękowałam za wszystko pannie Mani,

a obrazek wzięłam i do dzienniczka go wkleję. Zapomniałam na śmierć zapisać o tem, o czem mi panna Mania z naciskiem powtarzała:

— Ażeby roślina mogła kiełkować, musi być w ziemi dużo wilgoci, ciepła i powietrza.

Teraz zrozumiałam, dlaczego po ciepłym deszczu tak kiełkowały nasze roślinki w ogrodzie.

O, mój kochany ogródku, kiedy ja cię zobaczę znowu!

Muszę prędzej zamknąć dzienniczek, bo czuję, że zaraz łzy spadną na jego białe kartki.

20 Grudnia.

Znowu mam zmartwienie... Mój Boże, ile to człowiek musi przenieść! Dziś Natalcia straciła kanarka. Biedna dziewczynka, tak go lubiła!

Rano przychodzi do klasy z oczami zapuchniętymi, zaczerwienionymi od płaczu.

— Co ci to?—pytamy.

A ona rzuca mi się na szyję i szlochając, mówi:

— Maciuś... Maciuś... ptaszek mój złoty... już go niema na świecie...

Zaczęłam uspokajać, całować Naciulkę i prosić, żeby mi opowiedziała, co się stało, że tak nagle straciła kanarka.

— Już od kilku dni był jakiś smutny— zaczęła mówić Natalcia, ocierając oczy chustką—nic nie chciał jeść, mało się ruszał. Już mu i klatkę otworzyłam, bo myślałam, że polata po pokoju, nawet mu siemienia świeżego nasypałam, nawet listek sałatki kupiłam od ogrodnika za sześć groszy, ale to nic nie pomagało... Wczoraj od rana wcisnął się w sam kąt klatki, piórka najeżył, łebek skulił i siedział, ani pisnął... Dziś z rana przychodzę... a on leży nieżywy na dnie klatki — nóżki sztywne, skrzydła opuszczone, oczka zamknięte—nic już nie oddycha, serduszko nie bije... O, już mi nigdy nie zaśpiewa ptaszyna droga... Mój Maciuś biedny!

— Natalciu—pytam—cóżes ty z nim zrobiła? Czy tak dotąd leży w klatce?

— Nie, pochowaliśmy go, ja i braciszek. Miałam różowe pudełeczko z przykrywką, oblepiłam papierem, włożyłam tam mego

ptaszka, poczem pochowaliśmy go pod oknem. Podwórko nasze jest brukowane, ale to nic nie szkodzi; wyjęłam jeden kamień, wykopałam dołek i włożyłam Maciusia, później zasypałam znów ziemią, a kamień na dawne miejsce położyłam.

Dzwonek przerwał opowiadanie Natalci. Rozpoczęły się lekcye.

Natalcia trochę się uspokoila i tylko kiedy niekiedy wzdychała ciężko.

Na domiar nieszczęścia, dziś na każdej lekcyi wyrywano biedną dziewczynkę. I Natalcia, co zwykle tak dobrze umiała lekcye, odpowiadała jak najgorzej. Nikt nie domyślał się, co się stało, tylko ja wiedziałam przyczynę. Mój Boże! jakżebym chętnie zastąpiła ją w odpowiedziach! Ale nie wolno...

Paniusia nasza siedziała przez cały czas w klasie i spostrzegła tę zmianę w Natalci.

Na lekcyi arytmetyki, gdy odrabialiśmy zadania klasowe, Natalcia ani jednego działania zrobić nie mogła.

— Co tobie jest dzisiaj? — pyta nauczycielka—czy nie uważasz, czy nie myślisz, czy

chcesz zostać najgorszą uczennicą? Już od dwóch dni widzę, że się zaniedbujesz...

Tu Natalcia nie wytrzymała, oparła się o ławkę i na dobre się rozplakała. Mnie serce zabiło boleśnie. Wstałam wtedy i rzekłam:

— Paniusiu, proszę się nie gniewać na Natalcię. Ona nie jest próżniakiem, tylko ma wielkie zmartwienie.

Paniusia zaraz złagodniała, podeszła do Natalci, położyła rękę na jej ramieniu i spytała swoim miłym głosem:

— Co ci jest, Natalciu?... Powiedz, jakie cię zmartwienie spotkało?

Ona jednak z płaczu nic mówić nie mogła.

Dopiero ja opowiedziałam o nieszczęściu biednej dziewczynki.

Wszystkie koleżanki, słysząc to, bardzo, o! bardzo się zmartwiły.

— On tak pięknie śpiewał, tak śpiewał, że wszystkim nam weselej było—rzekła w końcu Natalcia, łzy wstrzymując.

— Cóż robić, dziewczeczko! Znieś mężnie to zmartwienie, jak przystało na dzielną dziewczynkę. Ale widzę, że masz gorączkę. Boli cię głowa?

— Tak, boli.

— Więc słuchaj, co ci powiem. Idź zaraz do domu i połóż się do łóżka, starając się dziś nie myśleć o kanarku. Gdy się prześpisz, to zaraz ci będzie lepiej. Lekcyi na jutro nie odrabiaj, ja cię wytłomaczę przed nauczycielkami. Braciszek twój pewno też bardzo tęskni za ptaszkiem, więc postaraj się go tak zająć i zabawić, aby o zmartwieniu zapomniał. Zrobisz to dla mnie? Dobrze?

— Dobrze, paniusiu—odpowiedziała po cichu Natalcia. Poczem pocałowała w rękę nauczycielkę i zaczęła zbierać książki.

Na pożegnanie ucałowałam moją przyjaciółkę, a wszystkie inne dziewczynki zawołały:

— Do widzenia, do widzenia, Natalciu!
Ciekawam, co teraz robi, biedactwo!

21 Grudnia.

Ach, ta Zosia! co ona wyrabia, wciąż śmieszne pomysły do głowy jej przychodzą!

Po trzeciej lekcyi paniusia zaczęła zapisywać nam stopnie w dziennikach, a my poszliśmy do salki.

Dziś otrzymałam jak zwykle długi list od Babci. Píše, że mają już zimę w pełni, że ogródek cały śniegiem pokryty, że mrozy coraz więcej dają się uczuwać. Wieczory Babcia spędza z Dziadkiem na czytaniu i na rozmowie. Maciej przed mrozem poobwiązywał młode drzewka słomą, a teraz siedzi w swojej izbie i coś tam struże: podobno jakąś altankę dla mnie na lato! Pocziwy! Ale najsmutniejszy był koniec listu: „Przykro mi jest bardzo, moje dziecko—píše babcia — że nie weźmiemy cię na Boże Narodzenie do domu. Nie miej żalu do nas, Naciulku, bo jesteśmy starzy oboje, droga dla nas w zimie jest bardzo uciążliwa, a przytem pociąga za sobą wielki wydatek, z którym musimy się bardzo liczyć. Więc gdy twoje koleżanki wyjeżdżać będą na święta, pomyśl wtedy o twoich starych dziadkach, którzy też radziby bardzo uścisnąć swoją małą wnuczkę—ale nie mogą.

Może da Bóg, że doczekamy lata. wtedy przyjadę po ciebie i znowu parę miesięcy spędzimy razem“.

Moja Babuniu złota, jakże ja mam do ciebie

mieć żal, kiedy wiem, że mnie kochasz i radabyś wszystko dla mnie zrobić! Ale że mi smutno będzie na Święta, to prawda.

Pocałowałam list Babciuni i schowałam go pod poduszkę; gdy się położę, to go trzymać będę przy sobie, żeby mi się zdawało, że Babcia jest w pobliżu przy mnie.

22 Grudnia.

Ach, cóż za roztrzepaniec ze mnie! Miałam wczoraj napisać o figlach Zosi—i zapomniałam. Przyczyną tego był list od Babci, który wielce mnie wzruszył. Za to dziś o Zosi napiszę. Oto jak to było:

Ażeby wejść do sali rekreacyjnej, trzeba minąć długi korytarz, w którym nauczycielki zdejmują okrycia.

Zaledwie wyszły, Zosia mówi nam po cichu:

— Uważajcie tylko, jak nauczycielka francuskiego wkładać będzie kalosze.

Idziemy więc umyślnie wolno, ażeby się uważnie przyjrzeć, i każda z nas, przechodząc, dygnęła ładnie nauczycielce. Patrzymy, a ona

wsuwa nogi w kalosze, lecz nie może się z miejsca ruszyć.

Zdejmuje, ogląda, jeszcze raz wkłada, ale kalosza nie może od podłogi ruszyć.

— Chodźcie prędko—woła Zosia—powiem wam coś ciekawego.

I wszystkie pobiegłyśmy za nią do sali.

— Wiecie, dlaczego ona kaloszy nie mogła włożyć? Przybiłam je gwoździami do podłogi! Niech pokutuje za swoje!

Naturalnie, że nauczycielka była oburzona, ale winowajcy nie znaleziono; uczennic w klasie jest dużo, niewiadomo było, kogo posądzić, a żadna z nas naturalnie nie wydała Zosi.

Kiedy ona miała czas urządzić tego figła, w jaki sposób, że nie spostrzeżono — nikt o tem nie wiedział.

Przykro mi jednak było, że Zosia tak lekomyślnie postępuje.

Nie jest to zła dziewczynka i uczy się nieźle, lecz ileż to już razy była ukarana, ile złych stopni ma w dzienniczku! Na nic się jednak to wszystko nie zdało: pomartwi się

chwilkę i zaraz zapomina o poprawie. Żal mi jej, serdecznie żal...

Nasza paniusia słowa dotrzymuje. Obiecała nam kiedy niekiedy opowiedzieć jakąś historyjkę i dziś właśnie opowiedziała nam drugą. Nie wiem, czy tylko potrafię to tak opisać, jakbym pragnęła. Lecz spróbuję.

Drugie opowiadanie Nauczycielki.

Była późna jesień. Śnieg z wiatrem rozgospodarowali się na dobre, wszędzie ich było pełno: po wsiach i miastach, w lesie i na polu, a najwięcej dostawało się podróżnym, gdy szli lub jechali gościńcem. W taki czas szedł ociemniały starzec, jedną ręką prowadząc małą dziewczynkę, drugą przytrzymując katarzynkę, którą z trudnością dźwigał na plecach. Śnieg nielitościwie zasypywał im oczy, a wiatr, zdawało się, że chciał porwać na nich i tak ubogie ubranie.

— Basiu—pyta słabym głosem starzec— czy ty mi nie zmarzniesz?... Drżysz cała... Czy bardzo ci zimno?

— Nie, dziadku, tylko z wiatrem nie mogę dać sobie rady... Nie wiem, czego on chce



Szedł ociemniały starzec, jedną ręką prowadząc małą dziewczynkę . . .

od mojej chustki?... Co zawiążę jeden koniec, on zaczyna drugim na wszystkie strony kręcić. Choć pozakładam wszystkie końce za kołnierz, on je natychmiast wydobywa. Ale tyś się pewno zmęczył, dziadku... Dokoła takie błoto i śnieg, że nigdzie usiąść nie można... Czy daleko do wsi?

— Do wsi?—pyta ociemiały—ano czy mi-
nęliśmy rzeczkę?

— O jej, już dawno!

— A lasek był?

— Był—odpowie dziewczynka.

— No, to jeno patrzeć, jak zaraz karczma będzie. Jeszcze przed wieczorem tam odpoczniemy. Tylko ty mi nie zmarznij, bo czuję, że mróz na noc bierze...

A nietrudno byłoby Basi zmarznąć, bo nie miała do zbytku ubrania: stara duża chustka zastępowała jej palto, a mała kretonowa chusteczka była całym okryciem na głowę.

Droga okazała się dalszą, niż staruszek przypuszczał. Dobrze się ściemniło, nim podróżni stanęli przed karczmą.

— Dziadku, widać gospodarz jest, bo świeci się w oknach... Czy wejdziemy?

— Jużci, wejdziemy... Czy są schodki, nie pamiętam...

— Są, dwa i próg trzeci.

Ociemniały, trzymając się ściany, wszedł do dużej sieni karczemnej, otrząsnął się ze śniegu, potem zdjął czapkę i wchodząc do izby, głośno przemówił:

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków!—odpowiedziało kilka głosów.

Karczma, do której weszli, nie wyglądała zbyt powabnie. Duża izba, z czarną od brudu podłogą, pośrodku stół, dokoła którego siedziało, pijąc piwo, kilku gospodarzy wiejskich, a w kącie za stołem karczmarz, żyd, zjadał kolację, którą mu widać żona przed chwilą przyrządziła.

Mała wisząca lampka rzucała słabe światło na pokój i napełniała go swędem nafty.

Basia zaprowadziła dziadka do ławki, pomogła mu zdjąć katarynkę z pleców i prędko zaczęła trzeć zmarznięte ręce.

Przy stole było gwarno. Wieśniacy rozmawiali to o tem, to o owem, o sąsiadach, o dzieciach swoich, zwłaszcza o tem, że zima

zawcześnie w tym roku nastąpiła, że za zboże mało płacą.

Podróżny siedział cicho na ławce, przysłuchując się rozmowie. I przyszło mu na myśl, że i on niegdyś tak siedział w kółku znajomych i przyjaciół, że i jemu niegdyś było dobrze i wesoło.

O, jakaż różnica z tem, co jest dzisiaj!... Poruszył się i westchnął głęboko.

A w tej samej chwili jeden z gospodarzy, widząc, że staruszek nie zbliża się do ogólnego stołu, głośno zapytał:

— A skąd Bóg prowadzi?

— Zdaleka, aż z Lublina.

— Dużo macie drogi przed sobą?

— A bo ja wiem?... Ot, chodzimy od wioski do wioski, od miasteczka do miasteczka. Ja kręcę korbą i gram, a dobrzy ludziska za to łaskawie mnie chlebem czy groszem darzą.

— No, to zbliżcie się do nas, stary... Dlaczego mielibyście być gorszym od innych. Przekąsimy co razem.

— Icku, dawaj wódki! A do zjedzenia masz co?

— Dziękuję, niech wam Bóg pamięta—

odrzecze ociemniały, podnosząc się z miejsca.—Basiu, jedźmy, jeżeli proszą.

Dziewczynka prędko przyprowadziła dziadka do ogólnego stołu, posadziła go na ławce i sama przy nim usiadła, trwożliwie spoglądając na obecnych.

— Nie ze zbytku my się włóczymy, nie zpróżności—mówił starzec z westchnieniem.— Bieda nas wygnała, oj, straszna bieda.

— Podobno w Lublinie cholera okrutnie grasowała tego lata. O, bo też i u nas dużo nabroiła!

— Zdrowie wasze!—rzecze jeden z gospodarzy, podając staremu do rąk kieliszek.

Dziadek wódkę wypił, zmarszczył się trochę, rękawem usta otarł, potem podał Basi kawałek sera z chlebem i tak dalej mówił:

— Niech ręka Boska broni, co to choróbsko u nas narobiło! Ludzie jak muchy wymierali.

— Prawda — rzekł karczmarz — naszych też dużo wymarło: żadne leki nie pomagały.

— A tak — ciągnął dalej staruszek— śmierć nie przebierała, ale najwięcej wpadała na biedotę. Mieliśmy tuż pod miastem cha-

łupę i syn z żoną nie żyli w biedzie, a i mnie starego przygarnęli. A tu razu jednego przychodzi syn na obiad i, nic nie mówiąc, na łóżko pada i zaczyna się wić w boleściach. W dwa dni później już go na świecie nie było... Wkrótce i żona przeniosła się za nim do wieczności, dzieciaki też pomarły... Prosiłem Boga, aby mnie zabrał prędzej z tego świata, bo smutek i żal zatruwały mi życie. Ale nie taka widać była wola Boska! Zostałem sam z tą małą wnuczką. W chacie naszej zaplanowała wielka nędza. Co tu począć? Ta oto dziecina zamała, ja ślepy i stary, ale trzeba coś zrobić, aby nie umrzeć przecie z głodu... No, i postanowiłem chałupę sprzedać, długi zapłacić, a za resztę pieniędzy tę oto katarynkę kupiłem. Stanowi ona cały mój majątek i zarobek: wygrywam wesołe pieśni, skoczne krakowiaki—ludziom to się podoba, słuchają i biedakom z głodu umrzeć nie dają. Mam nadzieję, że i tu gospodarz nas nie wyrzuci i pozwoli z małą, choć pod ławką, do jutra prześpać.

Szynkarz przez cały czas opowiadania

słuchał uważnie, kiedy niekiedy brodę gładząc. Potem zbliżył się do stołu i rzecze:

— Wy, grajku, na ławce się prześpijcie i przez jutro u mnie zostańcie... Jutro święto: zagrać w karczmie, to będzie zarobek większy, a i dla was coś się okroi.

Podziękował stary i dalej gwarzył z wieśniakami. Każdy miał coś opowiadać, i dobrze już było po północy, kiedy się wszyscy rozeszli. Tymczasem Basia już dawno na ziemi spała.

Grajek też rad, że mógł spocząć, kubraczek pod głowę położył, pomodlił się i prędko zasnął.

Minęły dwa dni. Ociemniały grajek udał się z wnuczką w dalszą drogę. Znowu szli gościńcem, ale dziś weselsi: przez dwa dni mieli ciepły kąt w karczmie i trochę jedzenia posilnego, a teraz niedługo znajdą do miasteczka. Ot, już widać wieżę kościelną i ratuszową.

— Dziadku, staniemy przy pierwszym dużym domu, a gdy usłyszą głos naszej miłej katarynki, jestem pewna, że zaraz nas czemkolwiek obdarzą.

Za chwilę weszli na podwórko.

Staruszek zdjął katarynkę z pleców, postawił na składanem krzeselku, które mu Basia podała, i zaczął grać smutną jakąś melodyę.

Kilku lokatorów otworzyło lufciki, wyjrzało na grającego, ale żaden z nich się nie domyślił, aby mu rzucić grosz jaki.

— Może im się nie podoba smutna piosenka—pomyślał grajek—i zaczął grać krakowiaka, później zagrał wesołego oberka. Ale napróżno Basia rozglądała się po oknach, napróżno stary przysłuchiwał się: żadnego brzęku spadającej monety na bruku podwórka słyhać nie było. Staruszek ciężko westchnął, wziął znowu katarynkę na plecy, dziewczynkę za rękę i poszli dalej.

— Tu nie wolno grać, proszę się zabierać—powiada surowo stróż, gdy podróżni grajkowie stanęli przed ładnym domem parterowym.

Jakieś nieszczęście dziś zawisło nad nimi, już pięć domów obeszli, i znikąd ani kawałka chleba, ani grosza pieniędzy.

Nadchodził wieczór. Ściemniło się.

Staruszek był tak zmęczony, że aż nogi pod nim się uginały.

— Dziadku—powiada Basia — spoczniemy gdzie na końcu miasteczka. O, tam, kościółek drewniany, na schodkach jego usiądźmy. Zawieja śnieżna wzmaga się, ściany kościoła nas trochę osłonią.

Nie mówiąc już nic więcej, zawrócili w tę stronę. Dziadek ledwie się włókł i z trudnością wszedł na stare, drewniane schody, prowadzące do kościoła. Ciężko zsunął się na ziemię, potrąciwszy mocno katarynkę, która wydała przytem jęk niemiły.

Dziewczynka zaczęła starannie przeglądać kieszenie swoje i dziadka, i wtem radośnie krzyknęła:

— Jest, dziadulku, chleb, znalazłam trochę suchy, ale nic nie szkodzi; gdy go dłużej w ustach potrymamy, to zmięknie.

Grajek wziął chleb do ręki, ułamał kawałek, włożył do ust i wolno zaczął przeżuwać.

— A masz co dla siebie?—pyta słabym głosem—weź kawałek. — Mówiąc to, chciał przełamać swój chleb na pół.

— Nie trzeba, dziadku, nie trzeba. Mam

jeszcze drugi kawałek—przerwała mu dziewczynka.

Tymczasem miała tylko trochę okruszyn, które jej pozostały w kieszeni. A wiatr wzmaczał się coraz to większy, śnieg białymi płatami zasypywał drogę, a nawet na schody kościelne się wdzierał.

Zimno przejmowało nawskroś starca i jego wnuczkę, napróżno usiłujących zasłonić się nędznymi łachmanami.

Wkrótce ręce grajka, zziębnięte i spotniałe, puściły chleb, głowa mu się pochyliła na piersi.

Basia wzięła go za rękę, pocałowała, spojrzała mu w oczy i przeraziła się, że tak dziwnie wyglądał.

— Dziadziu!—woła przestraszona dziewczynka —dziadziu, co ci jest?

Staruszek milczał.

— Dziadulku, dziadziu!—błagała Basia—odezwij się, powiedz, co ci się stało?

Całowała go po rękach, po głowie, a lzy dławily ją, w głowie jej się mąciło.

Ale dziadek tylko poruszał ustami, coś szeptał, lecz co, nie można było dosłyszeć.

— Boże mój, Boże, co ja pocznę nieszczęśliwa!—wołała Basia.

Prędko zeszła ze schodów, jęła biegać to w tę, to w drugą stronę, po kostki grzęzła w śniegu i rozpaczliwie wołała:

— Ratunku! ratunku! Ratujcie, kto może! Ratujcie!...

Ale w odpowiedź na jej wołanie tylko zawierucha jęczała, świszczała, miotała śniegiem na wszystkie strony i zdawało się, że płaczącą dziewczynkę porwie z ziemi.

Wróciła Basia zrozpaczona do dziadka, zaczęła go tulić do siebie, chuchać na niego, chustką swoją owinęła go, sama zaś uklękła na schodach i ze łzami w oczach modlić się zaczęła.

— Boże dobry, ulituj się nad nami, uzdrów dziadka, zrób tak, ażeby mu lepiej było na świecie...

Modlitwę jej przerwał jęk dziadka.

Zerwała się Basia, zbliżyła do niego.

Staruszek ciężko oddychał i jęczał.

Wtem nowa myśl powstała w głowie Basi.

— Przy kościele stoi dzwonnica niezam-

knięta. Pójdę i będę dzwoniła, może nareszcie ktoś posłyszysz i przyjdzie, bo przecież nie mogę dziadka odejść.

Tak też zrobiła.

Wkrótce mieszkańcy miasteczka, którzy się już do snu układali, usłyszeli dzwon kościelny. Zdziwiło to niezmiernie wszystkich, zaniepokoiło księdza proboszcza: głos dzwonu tak późno, była to rzecz niezwykła.

Natychmiast pleban ubrał się, wziął latarnię, zawołał służącego i razem z nim, brnąc w śniegu, udał się w stronę kościoła.

Zaledwie minęli podwórko, gdy mała dziewczynka zadyszana przypadła do księdza i płacząc mówiła:

— Dobrodzieju, zlitujcie się, dziadek mi zasłabł tu na schodach kościelnych... To ja dzwoniłam, bom nikogo dowołać się nie mogła.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! Gdzie dziadek? jaki dziadek? skąd się tu wzięliście w czas tak zimny?—pytał ksiądz-staruszek i śpiesznie zwrócił kroki ku kościołowi.

Niedługo byli już przy ślepym grajku, który bez czucia zsunął się na schody.

Dobry pleban zajął się staruszką i bardzo się przejął jego niedolą.

Natychmiast przeniesiono starca do plebanii, położono na wygodnem łóżku, rozgrzano go i staruszek prędko przyszedł do siebie.

Noc całą Basia siedziała przy nim i co chwila zaglądała, czy czego nie potrzebuje.

Na szczęście jednak żadna poważna choroba nie rozwinęła się, staruszek był tylko bardzo zmęczony i stracił chwilowo siły.

W kilka dni po opisanem zdarzeniu, ślepy grajek powiedział do wnuczki:

— Basiu, trzeba się zabierać do dalszej wędrówki. Sił mam dosyć, wzmocniłem się, więc niepodobna już dłużej korzystać z gościnności dobrego księdza. Zaprowadź mnie do niego, podziękujemy za przytułek i pożegnamy.

Ksiądz, zobaczywszy wchodzących, zdjął okulary i uprzejmie ich powitał. Ale gdy posłyszał, że przyszli się pożegnać, oburzył się wielce.

— A cóż to wy myślicie, że ja dla was kąta tu nie znajdę, że słabego starca na ulicę w takie zimno wyrzucę?... Co za gadanie! Ju-

żem dla was wszystko obmyślił... Wy, stary, u mnie zostaniecie,—znajdzie się dla was kąt i kawałek chleba; a tę małą weźmie pod swoją opiekę pewna zacna pani z parafii. Zajmie się nią ona, do szkoły odda... Przecież dziewczyna już duża, nauka jej się przyda. Zaopiekuje się nią ta pani, jak rodzoną córką, to będzie prawdziwe szczęście dla dziewczyny.

Stary grajek złożył ręce, jak do modlitwy, smutne oczy swoje podniósł do góry i Bogu dziękował za los, który mu zesłał. Potem do księdza przypadł, do nóg mu się rzucił.

— A cóż ty, Basiu, nic na to nie mówisz? Czy martwisz się, że do szkoły masz iść?

Dziewczynka księdza w rękę pocałowała, zarumieniła się cała, a oczy miała pełne łez.

— Nie gniewajcie się na mnie, dobrodzieju, ale nie pójdę do tej pani, nie zostawię dziadka samego.

— Czy ty myślisz, że mu się tu jaka krzywda stanie? Już cić wygod wielkich nie będzie miał, nie dam mu tego, co owa zamożna pani tobie, ale jakoś tam żyć będziemy.

— Wiem, że dobrze mu tu będzie, ale...

— No, cóż „ale,“ powiedz mała? — pytał pleban i pogłaskał Basię po głowie. — No, powiedz!

— Dziaduś tak często bywa smutny, tak często łzy mu z oczu spadają, choć wesołe piosenki gra, bo wielkie zmartwienie przeżył. A któż go wtedy pocieszy, kto z nim porozmawia, zajmie, rozweseli?... Ja tak mego dziadka kocham, że gdy on smutny, to aż mi się serce rozrywa. Płacemy wtedy razem, rozmawiamy... wreszcie uspokoję mego opiekuna.

Wzruszyła księdza ta szczerą mową dziewczynki, pocałował ją w głowę i rzekł:

— No, to zostańcie razem, jakoś tam będzie. Nie chcesz być panią bez dziadka, to bądź z nim, usługuj mu, choć ci to nieraz ciężko będzie.

Basia raz jeszcze pocałowała księdza w rękę i rozpromieniona cała do dziadka tulić się zaczęła.

Odtąd zamieszkali na plebanii i inne już życie zaczęli pędzić.

Staruszek nie kłopotał się, nie myślał o jutro, miał mały, ale spokojny kącik. Ba-

sia zaś opiekowała się nim, jak dzieckiem; chodziła przytem do szkółki wiejskiej, a po południu też nie próżnowała: schody zamiatała, pokoje sprzątała; gospodyni dopomoże, i tego wyręczy, i tamtego zastąpi; słowem wszędzie jej było pełno.

Nigdy nie było na plebanii tak czysto: odrobinki kurzu nikt-by nie dojrzał.

— Wszystko to dobrze, mała, ale jak tam z nauką idzie, co? Prędko się nauczysz czytać?—pytał zacny pleban, spotkawszy razu pewnego dziewczynkę.

— Nie wiem, proszę jegomościa — odpowie Basia, rumieniąc się—mnie się zdaje, że już umiem trochę czytać.

Rzeczywiście Basia już od miesiąca czyta co wieczór dziadkowi różne wiadomości z gazety. Służąca księdza zbiera stare pisma, oddaje Basi, a ona dziadkowi wieczór uprzyjemnia.

Nareszcie zima się skończyła i dobra, pogodna wiosna nastąpiła.

Wszystkim było jakoś raźniej, niby z oczów lepiej patrzyło. Basia codziennie z inną nowiną wpadała.

— Dziadziu, wiesz, bociana na łące już wdziałałam, wszędzie się już dobrze zazieleniło. Już nawet drzewa owocowe kwitną. Masz tu, dziadku, fijołek, niech on ci o wiosnie opowie. Ja muszę biedz, dziecka Antoniowej popilnować.

Aż tu jednego dnia rozeszła się wieść, że egzamin wkrótce będzie w szkółce.

Była to wielka uroczystość w miasteczku.

Rodzice ubierali dzieci jak mogli najlepiej i sami z nimi szli do szkoły; kto nie mógł się zmieścić w pokoju, stał za oknem i przysłuchiwał się odpowiedziom uczniów i uczennic.

Dla Basi wszystko było jedno, czy ten dzień, czy inny: ani ona sukienki nie zmieni, bo ma tylko jedną, ani kołnierzyka na szyję nie włoży, ani wstążeczki na głowę, bo jej nie ma.

Nadszedł nareszcie oczekiwany dzień popisu w szkole.

Basia prędko się zakrzętnęła, izbę dziadka zamiotła i zaczęła wybierać się do szkółki.

Wtem drzwi się otwierają, wchodzi Walentowa, żona zakrystyana i przynosi kretonową sukienkę z białą falbanką koło szyi.



Wróciwszy ze szkoły, prędko zamiętę pokój.

— Masz, Basiu, włóż tę sukienkę dziś, przerobiłam ją ze swojej. Zawsze lepiej wygląda, niż twoja.

Dziewczynka zaczęła dziękować, a kobieta jej na to:

— Nie masz za co, przecież nieraz mi usłużyłaś, nieraz wyręczyłaś.

Jeszcze nie wyszła Walentowa, a tu stróżka wbiega zadyszana, przynosząc świeżo wyprasowany biały fartuszek. Ona też chciała się Basi czemś wywdzięczyc.

— Dała mi jedna pani ten fartuch. A ja myślę: co starej po białym fartuchu? niech lepiej sierotka to nosi. Przerobiłam trochę, co się dało, i będzie bardzo dobry.

Basia z radości skacze i śmieje się, ogląda podarunki na wszystkie strony — prawdziwa pani.

Podziękowała raz jeszcze, ubrała się i wybiegła, ażeby się nie spóźnić.

— Basiu, Basiu—woła szewcowa z przeciwka—chodźno do mnie, niech cię przyczesezę porządnie, przygotowałam ci tę oto wstążeczkę do warkoczy. Dlaczegożbyś ty miała gorzej wyglądać, niż inne?

Przychodzi Basia do szkoły i widzi, że wszystko w niej inaczej, niż zwykle, wygląda.

Ławki pozsuwane, na środku stół, przy nim siedzi dużo pań i panów, a we środku ksiądz pleban zajął miejsce.

Nauczyciel długo czytał coś o szkole i zakończył tem, że kilku uczniów i uczennic za pilność w naukach dostaną nagrody. Pierwsza przypada Barbarze Nowakównie.

Podeszła Basia do księdza, ukłoniła się grzecznie i wzięła dużą książkę w ozdobnej oprawie. Jak wróciła do domu, kogo widziała, co mówiła — nie pamięta z wielkiej radości... Dopiero w domu, gdy siadła przy dziadku i dzieliła się z nim swoim szczęściem, to i owo przychodziło jej na myśl.

— Dziadku, a jaka to gruba książka! a ile to ja tobie przeczytać będę mogła! Cieszysz się, dziadku? Tytuł tej książki: „Bitwa pod Raszynem.“

A dziadek przytulił jej głowę do siebie i rzekł:

— Jakżebym się nie miał cieszyć? Przecież ty jesteś jedyną moją pociechą na świecie.

Minęło lat dziesięć.

Miasteczko bardzo się rozrosło: przybyło dużo nowych ulic, domów, nowy kościół. Szkoła została przebudowana, świeżo wybielona, drzewa przy niej rozrosły się szeroko.

Dzieci było w szkole tak dużo, jak nigdy, a wszystkie biegły z niezwykłą wesołością.

Cóż je tam tak ciągnęło?

Dobra, bardzo dobra nauczycielka, panna Barbara. Ona cierpliwie każde dziecko uczy, przyjaźnie do niego przemawia, pamięta o przyjemnościach godziwych; ona to uprosiła starego dziadka, ażeby w czasie pauzy na katarynce dzieciom grał piękne melodye.

Ta dobra nauczycielka, to dawna Basia, która wyrosła na taką piękną panienkę i została nauczycielką. Bóg zrządził, że zamieszkała w tej samej szkole, do której kiedyś chodziła na naukę.

Dziadka niewidomego ma zawsze przy sobie, szczęśliwa, że może go otoczyć staraniem i wygodami.

Dużo szkodników naszego ogrodu poznałam z opowiadań Macieja, ale o korniku jeszcze nie słyszała, a to bodaj czy nie najgorszy szkodnik, bo go wytępić wcale nie można, przynajmniej bardzo trudno.

Panna Mania taka pocziwa, że przyniosła mi kornika odrysowanego.

Na wiosnę korniki przegryzają korę drzew, dostają się do miazgi i żłobią długie kurytarze. Wkrótce składają jajka, z których wylęgają się liszki. Za przykładem starych, młode korniki toczą drzewo, żłobiąc w dalszym ciągu długie kurytarze. Wyobrażam sobie, jak biedne drzewo wygląda, jeżeli w niem siedzi tysiące podobnych korników, a każdy na własną rękę wydrąża kurytarze. Liszki przemieniają się na poczwarki, a te na żuczki, które natychmiast wydostają się nazewnątrz, ale też nie na pociechę dla nas, bo zaledwie trochę polatają, już wypatrują drzewo, na którym mogłyby usiąść i wyżłobić kurytarze. I cóż dziwnego, że drzewa wysychają od tych szkodników. W naszym ogrodzie zeszłego roku uschła gruszka, niewiadomo z jakiej przyczyny—ani dziadek, ani Maciej nie wiedzieli,

z jakiego powodu. Ze starości zginąć nie mogła, bo była jeszcze młoda; nie zmarzła w ziemi, bo Maciej zawsze słomą owija wszystkie drzewa na zimę. Teraz wiem, jaka była tego przyczyna. Nie inna—tylko korniki. Co prawda, słyszałam, że częściej dostają się do świerków, sosen i jodeł,—ale dlaczegóżby nie mogły wybrać dla siebie drzewa gruszkowego, tembardziej, że ono musi mieć bardzo smaczną miazgę.

Pocziwe sikory, kowaliki i dzięcioły! one jedne nam mogą dopomóc, tylko one nas wyratują. Ale! wyratują... Prawda była! przecież dziobem sięgnąć mogą tylko w szparkę pnia, nie głęboko pod korę, a owe szkodniki włożą w samą miazgę...

Mówiła mi panna Mania (ale ona to wszystko wie nie z własnego rozumu, tylko słyszała od nauczyciela), że na drzewo, w którym się rozmnożyły korniki, jest tylko jeden sposób—ściąć i spalić, zanim się żuczki wylęgą. Nieraz stolarz z podobnego drzewa zrobił meble, a to w krótkim czasie nawet w meblach zupełnie się rozpadło. Korniki te nie przestały drążyć swoich kurytarzy w meblach

i zniszczyły je zupełnie. Łatwo to powiedzieć: ściąć drzewo i spalić,—ale to przecież szkoda. Ot, gdyby naszą suchą gruszkę ścięto w ogrodzie, tobym ogromnie żałowała.

Opowiedziała mi jeszcze panna Mania śmieszłą historyjkę o tych samych kornikach.

„Pewna staruszka mieszkała w małym pokoju sama jedna. Dzień cały krzątała się koło domu, wychodziła za sprawunkami, a wieczorem siadała przy stoliku, czytała i szyła.

Po niejakiem czasie uzbierała trochę pieniędzy i kupiła szafkę do bielizny. Cieszyła się niezmiernie, bo szafka była jej bardzo potrzebną. Ale wkrótce cóż się okazało? Skoro tylko nastanie wieczór, w szafce coś puka. Staruszka uporządkowała szafę raz i drugi, umyła ją — nic nie pomagało: w szafce coś puka regularnie, jakby zegarek był w środku. Przetawiła na inne miejsce — to samo. Zaczęło to kobiecinę niepokoić: poszła do sąsiadki po radę.

— Moja pani kochana—powiada przyjaciółka—to strach musi być w tej szafie, albo dusza pokutująca. Leosia, moja siostra, też

miała taki wypadek: straszło ją coś w nocy w komodzie. Wytrzymać nie mogła, porąbała komodę na drzazgi i spaliła.

Jeszcze większy niepokój staruszkę ogarnia, strach ją przejmuje za nadejściem wieczora. Więc idzie do znajomej sklepikarki.

— Kumo droga, zróbcie mi tę łaskę, przyjdźcie do mnie na jedną noc. Coś u mnie straszy.

Wieczorem zjawia się sklepowa. Z początku nic nie było słychać. Ale gdy zaplanowała zupełna cisza na ulicy—pukanie dało się wyraźnie słyszeć w szafie.

Sklepowa otworzyła szeroko oczy, na palcach do szafy się zbliża, przysłuchując się.

— Kumo—mówi tajemniczo—to dusza pokutująca siedzi w szafie. Duszyczko, czego żądasz?

W szafie na chwilę pukanie ustało.

— Czego chcesz, czyją duszą jesteś?

W odpowiedź na to znowu rozpoczęło się wolne pukanie.

Po tej nocy całe niemal miasteczko wiedziało o strachach u biednej staruszki. Każdy radził, jak mógł.

„Pokropić wodą święconą, dać na mszę za duszę pokutującą, na kilka dni wyjść z mieszkania.“—Ale wszystko na nic się nie zdało.

W końcu staruszka zdecydowała się pójść do stolarza i spytać, czyby za tanie pieniądze nie chciał nabyć szafy?

Stolarz przyszedł, obejrzał starannie szafę i powiada:

— Biednaż wy, biedna, matko! Szafa wasza jest na nic, musicie ją spalić.

— Mój Boże—pomyślała staruszka—poznal się, że w niej siedzi dusza pokutująca.

— Gdzieżeście ją kupili?

— Na targu, parę miesięcy temu, kupiłam zupełnie nową.

— Tak, matko, to nie nowa szafa, ot patrzcie.

I z wielką łatwością ułamał kawałek deski.

— Zrobiona ona jest z zepsutego drzewa, w którym leży się korniki, a to takie paskudne żuki, że na nic drzewo całe stoczą. Spalcie ją czempędzej, żeby wam do innych mebli nie przeszły, a ja wam już za tanie pie-

niądze zrobię nową. niesprawiedliwie krzywda wam się stała.

Zabobonna kobieta, co prawda, była zmartwiona. Ale ciężar jej spadł z serca, gdy przekonała się, że żadnej duszy pokutującej w jej domu niema.

24 Grudnia.

Na pensyi pusto. Prawie wszystkie moje koleżanki powyjeżdżały do domu. A jak one się cieszyły, jak biegały, podskakiwały, jak ścisnęły i całowały koleżanki z radości! Każda z nich na trzy tygodnie jechała do domu—czemużby nie miały się cieszyć, kiedy wiedzą, że im tak dobrze będzie u swoich? Szczęśliwie! A mnie taki żal ogarnął, że ciągle miałam łzy w oczach. Wysłałam na kurytarz, obejrzałam się, nikogo nie było—stałam w kąci i zaczęłam płakać.

Wtem słyszę, ktoś drzwi otwiera.

Była to nasza panienska. Ona też nie wyjedzie widać na święta.

— Naciu, a gdzieżeś się ty podziała? Szukam cię po wszystkich pokojach. Coś tu robiła?

Ja prędko łyzy chustką otarłam i odpowiadam:

— Nic, paniusiu, tak sobie stałam.

Ale panna Wanda spojrzała na mnie pytająco i pewno się domyśliła, co robiłam, bo rzekła z dobrocią:

— Ach, ty, ty, bekso mała. Słuchaj, mam tu list od twojej babci; kazała cię uściśnąć i przysyła ci trzy ruble, za które możesz sobie kupić co na gwiazdkę. Namysł się, gdyż za pół godziny wyjdziemy na miasto.

— Paniusiu—zapytałam—czy mogę kupić, co mi się podoba?

— Tak, możesz rozporządzać pieniędzmi według woli.

Cóż ja mogę kupić przyjemnego? Najlepiej byłoby, gdybym mogła oglądać babcię moją ukochaną, dziadka i Macieja... z nimi chciałabym być razem. Ponieważ to życzenie moje spełnić się nie może, więc kupię prezent dla Natalci.

Niedługo wyszłam z paniusią do sklepu, gdzie sprzedawano żywe ptaki. Postanowiłam kupić kanarka.

Ale cóż się okazało? Kanarek kosztował

3 ruble i pół. Przeprosiłam więc kupca i miałam pójść do domu, gdy paniusia rzekła:

— Weź, Naciu, kanarka, a ja dodam resztę pieniędzy, których ci brakuje. Miej i ode mnie prezent...

Pocałowałam za to nauczycielkę, choć to nie wypadało w sklepie, i byłam bardzo szczęśliwa, że już mam takiego ślicznego kanarka dla mojej przyjaciółeczki.

Później napisałam na kartce te wyrazy: „Nowego Maciusia przysyła Natalci—Nacia“ i posłałam przez posłańca. Wyobrażam sobie, jak się Natalcia ucieszy.

Wieczorem była wigilia.

Za małym stołem siedziało tylko 6 osób: przełożona, dwie damy klasowe, ochmistryni i nas dwie pensyonarki.

Znowu mi się zrobiło smutno, jak sobie przypomniałam, że tam gdzieś dziadkowie wigilię jedzą sami. Miałam oczy łez pełne, ale przełożona zaczęła z nami rozmawiać, więc siłą wstrzymałam się od płaczu. Kawałek opłatka schowałam: pošę go w liście moim ukochanym. Ale jakież było moje zdziwienie, gdy sąsiadka moja znalazła u siebie

prezent pod talerzem. Był to piękny album do fotografii. Patrząc, a tu i u mnie leży pudełko z farbami do malowania. Nie wiedziałam, co powiedzieć, kto mógł nam owe prezenty ofiarować. Wkrótce domyśliłyśmy się: były to upominki na gwiazdkę od przełożonej pensyi.

Po kolacyi dobra przełożona zaprosiła nas do swego pokoju, gdzieśmy się bawiły przez kilka godzin. Smutno to nie być na Święta u swoich!

2 Stycznia.

Ślicznie zabawa nam się udała; jeszcze się nigdy tak nie ubawiła! W pierwsze Święto przełożona zapowiedziała nam, że urządzi wieczorek w dniu 30 grudnia i że możemy zaprosić koleżanki na ten dzień.

Ucieszyłyśmy się bardzo z Karolą, to jest tą dziewczynką, która została na Święta na pensyi, i wkrótce zaczęłyśmy pisać listy z zaproszeniami. Karolcia pisała do swoich koleżanek, a ja do moich. W ten sposób dwadzieścia cztery listy wysłałyśmy!

W przeddzień zabawy przyszła panna Wanda i tak do nas powiada:

— Zróbmy niespodziankę naszym paniom i przygotujmy kostyумы dla każdej z nich. Mam dużo papieru kolorowego, to przez te kilka dni zdążymy wykończyć piękne ubranka. Czasu mamy dosyć.

Przystaliśmy na ten projekt bardzo chętnie. Każdy kostyum miał wyobrażać jakiś kwiat: z czerwonego papieru zrobiłyśmy mak polny, z różowego i kremowego—różę; z pomarańczowego—lilię; później były rumianki, konwalie, bławatki, słoneczniki i wiele innych kwiatów.

Nadszedł nareszcie dzień oczekiwany. W salce pozapalano lampy i świece. Było widno, jak w dzień.

Pierwsza przyszła Natalcia, ale jakaś nieśmiała. Zbliża się do mnie i powiada, że chce mi coś w sekrecie powiedzieć. Poszłyśmy w kąt sali.

— Naciu—powiada mi—ja usiądę w ciemnym miejscu, bo mam zniszczoną sukienkę, a mama mi mówiła, że na tańczące wieczorki zawsze ładnie się ubierają.

— Moja droga — odpowiadam — zaraz ubierzesz się jak królowa, chodź, pokażę ci twoje ubranie.

Rzekłszy to, zaprowadziłam ją do pokoju, w którym były poukładane kostyумы.

Pół godziny nie przeszło, gdy wszystkie panienki już się zebrały i w strojne kostyумы się poprzebierały. Natalcia była bławatką: miała sukienkę z szafirowej bibuły, a na głowie wianek z bławatków. Z radości wielkiej zarumieniła się zlekka i wyglądała jakby szafirowy bławatek z odcieniem fioletowym.

Kiedy już przybrałyśmy się wszystkie i weszłyśmy do salki, spotkała nas tam wielka niespodzianka. Oto otwierają się obie połowy drzwi do sali i spostrzegamy na środku pokoju dużą choinkę, obarczoną świecidełkami, łakociami i płonącymi świeczkami.

— Ach! — wybuchnęłyśmy wszystkie prawie jednocześnie.

Natalcia przycisnęła się mocno do mnie.

— Naciu — rzekła — jak tu pięknie, jak jasno!

Gdy weszłyśmy wszystkie do sali, Karolcia zaraz zaproponowała tańce. Paniusia sia-



. . . i spostrzegamy na środku pokoju dużą choinkę . .

dła do fortepianu, a myśmy się wzięły za ręce i zaczęłyśmy tańczyć, tworząc duże koło.

Później była zabawa w kwiaty.

Wszystkie dziewczynki usiadły na krzesłach, a jedna została w środku i śpiewała krótką piosenkę, przy końcu zaś piosenki tak wypadało, że wymieniała jakiś kwiatek. Dziewczynka, która przedstawiała ten kwiatek, wstawiała, podchodziła do tamtej i tańczyły razem dokoła choinki; później obie dobierały sobie inne dziewczynki do pary, wołając również na jakiś kwiatek, i znowu tańczono, ale już we dwie pary. Później tamte znów sobie dobierały i tańczyły we cztery pary i t. d. W końcu wszystkie pary tańczyły, śmiejąc się wesoło.

Po pewnym czasie, pani przełożona zaprosiła nas na kolację.

Stół był ładnie zastawiony, na środku stał nawet kosz z kwiatami, po bokach duże klosze z pomarańczami i bakaliami.

Nasza paniusia i dama klasowa z klasy IV wciąż do nas podchodziły, częstowały i zapraszały serdecznie do posiłku.

Jedna dziewczynka, która była przebrana

za stokrotkę, coś szeptała do mojej sąsiadki, przebranej za słonecznik, i okrutnie się śmiała. Nagle zakrztusiła się i przewróciła filiżankę z herbatą. Okropnie się tem przeraziła i myśmy też się przestraszyły. Biedna Andzia—tak się nazywała ta dziewczynka—siedziała teraz czerwona jak rak, nie wiedziała, co począć, spuściła głowę i zawstydzona patrzyła na przełożoną.

Pani przełożona, spostrzegłszy to, podeszła do Andzi i rzekła łagodnie:

— Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi, z herbaty na obrusie plamy nie będzie.

Rzekłszy to, wzięła swoją serwetkę, złożyła i położyła przed Andzią, a lokajowi kazała przynieść drugą filiżankę herbaty.

Po kolacyi jeszcześmy się trochę bawiły i jadłyśmy różne łakocie z choinki. Dopiero o godzinie dziewiątej zabawa się skończyła, pozostawiając jak najmiłsze wspomnienie.

Styczeń.

Mój Boże, mój Boże, po co są źli ludzie na świecie! Jak ja ich nie lubię! Znosić nie

mogę! Tyle zmartwień wyrządzają, tyle łąz przez nich się leje... Gdybym była przełożoną, nie przyjmowałabym wcale na pensję niedobrych dziewczynek, tylko same dobre. Brońci Zawadzkiej nie trzymałabym ani jednego dnia, bo ona tyle zmartwienia sprawiła biednej Kasi.

Kasia Rąbkówna jest dziewczynką cichą, spokojną, nikomu w drogę nie wchodzi; nosi zwykle biały kołnierzyk wykładany, siedzi obok Brońci Zawadzkiej. Wczoraj, w czasie lekcji kaligrafii, Brońcia ciągle dokuczała swej sąsiadce. Wyrzekała, że jej miejsca za dużo zajęła, to że piórem skrzypi, gdy pisze, to że często pióra macza w atramencie, słowem, tak nudziła biedną dziewczynkę, że w końcu Kasia znieczcierpliwiona szturchnęła ją naprawdę łokciem i Brońcia źle napisała literę.

Nauczycielka tego nie zauważyła i po lekcji wyszła. Podczas pauzy Brońcia zwraca surową minę ku sąsiadce i nuż jej wymyślać:

— Ty obrzydliwa dziewczyno, ty przekupko, jak ty śmiesz mnie potrącać? Matka twoja jabłka sprzedaje, a ty pewno przy niej

sledziami handlujesz! Każdy po tobie pozna ordynarną przekupkę. Trzewiki nosisz jak chodaki, w domu pewno boso chodzisz, a może i podłogę myjesz. Nie waż się do mnie zbliżać, nigdy ci ręki nie podam, pewnie ją sledziami czuć. Nie chcę z tobą w parze na przechadzki chodzić.

Z początku Kasia próbowała bronić się. Ale gdy usłyszała, że matkę jej przekupką nazwano, mniemała, że to wielką zbrodnia i zaczęła płakać.

Wtedy ujęłyśmy się za Kasią.

Kilka nawet zbliżyło się do niej, zaczęłyśmy ją pocieszać, całować, mówić, że ją bardzo kochamy, szanujemy, a że jej matka jabłka sprzedaje—to nic złego...

— Mój ojciec ma dystrybucję, sprzedaje wiele rzeczy i cóż w tem złego? Jest bardzo dobrym człowiekiem, bardzo go kochamy.

— A moja mama jest praczką—powiada Natalcia.—Czegoż się mam wstydzić?...

— A moja jest nauczycielką—dodaje inna z uczennic.

— Gdyby nie twoja mama — wtrąciła

znowu Jagielska—to Brońcia nie jadałaby jabłek, a wiem, że je bardzo lubi.

— Twoja mamusia pracuje, więc jest uczciwą kobietą, godną szacunku — mówiła Mania z długim warkoczem.

— Ja to wszystko sama wiem—rzekła Kasia przez łzy—ale po co ona, Zawadzka, zawsze mnie wyśmiewa? Gdy mama kiedy na podwórku czeka na mnie, ona zawsze złośliwie się uśmiecha... Wiem, że i dziś to samo będzie.

— Nie bój się, Kasiu, ja już na to poradzę—rzecze Zosia.

A że pomysłów jej nigdy nie brakuje, wiedziałam, że zrobi coś niezwykłego. I nie myliłam się.

Zosia najpierw namówiła nas, żebyśmy do Brońci wcale się nie zbliżały: niech sobie ze swoją przyjaciółką Wandą rozmawia; później, po lekcjach wszystkie przychodnie pаниenki mają na podwórku odnaleźć matkę Kasi i grzecznie ją powitać.

Tak się też stało.

Widziałam przez okno, które wychodzi na podwórko, jak kilka dziewczynek kolejno

podchodziło do kobiety w dużej czarnej chustce i grzecznie mówiły: „Dzień dobry pani.“ Niektóre nawet dziewczynki w rękę ją całowały.

Kobieta z rozrzewnieniem całowała dziewczątka w głowę, nie rozumiejąc, dlaczego są dziś takie grzeczne dla niej.

Tylko Brońcia ze spuszczoną głową prędko przebiegła podwórko.

Nazajutrz, gdyśmy się zebrały w klasie, do Brońci nikt nic nie mówił, jakby wcale nie istniała. Cały dzień tak przetrzymałyśmy. Zato Kasię pokochałyśmy wszystkie. Każda z nas chciała jej jakąś przyjemność zrobić: Mania Nieniewska darowała jej złote pióro, Zosia obrazek, przedstawiający aniołka, inna z koleżanek czekoladkę, a ja darowałam jej ołówek kolorowy. Rada byłam, że mogę smutną dziewczynkę choć tem pocieszyć.

Brońcia z początku udawała, że nic ją to nie obchodzi, ale w końcu nie wytrzymała; wzruszona zaczęła nas bardzo prosić, żebyśmy się nie gniewały na nią, żebyśmy choć słówko przemówiły, bo nawet i Wanda odstąpiła od niej.

Na to Zosia wstaje i zwraca się do Kasi:

— Kasiu, czy jej przebaczasz?

— Przebaczam — odpowiedziała cieniutkim głosem Kasia i pocałowała Bronię.

— Ale na tem nie koniec — mówi dalej Zosia — musisz dzisiaj jeszcze przeprosić matkę Kasi, żeś tak zwymyślała jej córkę.

— Dobrze — odpowiedziała Zawadzka — wszystko zrobię, tylko nie gniewajcie się na mnie, rozmawiajcie ze mną, nie strońcie ode mnie.

Wtedy wszystkie nas litość przejęła i przebaczyłyśmy jej winę.

Co ja też robię najlepszego! Od tak dawna w dzienniczku nic nie piszę! Bo też prawdę mówiąc, ani chwili wolnej znaleźć nie mogę. Jak tylko skończymy lekcję, koleżanki mają mi dużo do opowiadania, a szczególnie po powrocie ze świąt.

Od dwóch tygodni już lekcye się zaczęły.

Bardzo ważną lekcję miałam z mojami nauczycielkami: sen roślin.

— Czy ty wiesz, stokrotko — mówi do

mnie panna Mania — że kwiaty zasypiają na wieczór?

— Tego nie wiem—odpowiadam—ale za to wiem, że pani ze mnie chyba żartuje.

— Wcale nie żartuję, Naciu, mówię ci to, com słyszała od nauczyciela. Sama powiadasz, żeś widziała, jak niektóre kwiatki zamykały swe kielichy na noc, a nawet listki przybierały inne położenie.

— Prawda, uważałam nieraz, ale nie wiedziałam, że był to sen kwiatów.

— Więcej ci powiem—mówiła panna Mania z przejęciem — kwiaty zasypiają bardzo regularnie, choć nie wszystkie o jednej porze. Pewien sławny botanik, nazwiskiem Linneusz, zasadził na jednym klombie kwiaty, z których każdy budził się o innej porze, i tym sposobem ten uczony miał zegar z kwiatów.

— A to ciekawa rzecz mieć taki zegar na klombie. Zarazbym dla Macieja zrobiła prezent. Ale cóż, kiedy nie jestem żadnym Linneuszem, tylko Nacią, która tak mało jeszcze umie—pomyślałam sobie.

— Kwiat lilijki naprzykład—mówiła dalej panna Mania — budzi się o godzinie 5-ej

rano, a zasypia o 7-ej wieczór; grzybięń biały, ten duży kwiat, który rośnie nad wodą i często niesłusznie jest nazywany lilią wodną...

— Znam, znam, ma mięsistą nóżkę przy kwiatku. Sama nazywałam go lilją wodną.

— Otóż grzybienie zamykają kielichy już o godzinie 5-ej po południu, a otwierają o 7-ej rano; nogietki wstają o 9-ej (to śpiochy!), o trzeciej zaś po południu już zasypiają i t. d. A jeżeli jest niepogoda, deszcz pada, to niektóre kwiatki wcale się nie otwierają. I dobrze robią: pocóżby się miały budzić, gdy smutno jest na świecie?

— Skoro wrócę do mego ogródka—pomyślałam sobie—to wysledzę, o której godzinie każdy kwiatek zasypia, a o której się budzi... Ech! nic z tego, moja pani—to chyba Maciej dojrzy, bo gdzieżbym ja przed kwiatkami wstała, gdy niejedne o 5-ej rano się budzą.

— Proszę pani—zapytałam panny Mani— a dlaczego zasypiają kwiatki? Czy naprawdę są senne i nie mogłyby czuwać przez całą noc?

— Dlaczego kwiatki stulają się, o tem

nam nauczyciel nie mówił, wspominał tylko, że dużo rzeczy o roślinach dowiemy się później; powiedział jednak, że zamykanie kwiatu na noc jest koniecznem, gdyż ochrania delikatne części jego przed zimną rosą.

— To tak wygląda, jakby rodzice zamykali w pokoju małe dzieci swoje przed deszczem i zimnem.

— Masz rację, i nie chcieli otworzyć im drzwi i wtedy, gdy wkrótce ma deszcz padać.

— Przypominam sobie, że słonecznik w dzień zawsze zwraca się ku słońcu, a wieczorem przechyla główkę na dół. Pewno też spać idzie.

— Jeszcze ci nie wszystko powiedziałam o śnie roślin, stokrotko... Nie tylko same kwiaty stulają się do snu, ale również i listki, tylko że przyjmują zupełnie inne położenie, niż my, gdy się zabieramy do snu: my się kładziemy, a one stoją pionowo.

— To głuptaski! Nie wiedzą, że daleko wygodniej jest spać leżąc, niż stojąc.

— Nie śmieję się z nich, stokrotko, one wiedzą, co robią: położenie pionowe zabezpiecza listki od zaziębienia w chłodne noce. Za to w dzień rozpościerają się jak mogą najsze-

rzej, aby słońce lepiej je mogło oświecić i ogrzać.

— Przyznam się, że nigdy nie widziałam snu liści, może zresztą nie uważałam. A może listki w moim ogródku wcale nie zasypiają?

— Macie fasole?—pyta panna Marya.

— O, ile jest tego!

— To przyjrzyj się kiedy późnym wieczorem jej listkom, a przekonasz się, że inaczej wyglądają w nocy, niż za dnia.

— Proszę pani, jeszcze o jedną rzecz chciałam się zapytać. Dlaczego w moim ogródku tulipany nawet w dzień czasem mają kielichy zamknięte?

— Dlatego, że są bardzo delikatne i wrażliwe na zimno. Nauczyciel przytoczył nam kilka przykładów: tulipan, szafran i inne kwiaty, których nie pamiętam, zawsze się stulają, gdy powietrze jest trochę zimniejsze.

— I o tem dobrze wiedzieć.

Podziękowałam mojej nauczycielce, a ona mi na to rzekła:

— Słuchaj, Naciu, jak mnie nie przestaniesz nazywać „panią,” to nie będę z tobą rozmawiała.

Powiedziałam jej „dobrze,“ ale się wstydzę ogromnie, jak mogę takiej dorosłej panience mówić „Maniu.“

Luty.

Straszne rzeczy u nas się działy na pensyi i wielka była awantura! Zaraz o tem napiszę.

Wacię Różańską, uczennicę klasy drugiej, bardzo lubimy, bo nas wciąż śmieszy, a śmiała jest taka, nikogo się nie boi, nawet samej pani przełożonej.

Wczoraj wieczór pani Kuźmicka, ta pani, która dogląda naszego ubrania, robiła porządki w garderobie i szatni i zapomniała, a może umyślnie drzwi nie zamknęła. Było to po kolacyi, kiedy przechadzałyśmy się swobodnie po kurytarzu.

Wacia, widząc drzwi otwarte, powiada do mnie, bośmy razem chodziły:

— Wiesz Naciu, schowam się w szatni, pod palta, a gdy pani Kuźmicka wejdzie, wypadnę zniecka... Zobaczysz jak się przele-

kanie i jak będzie zmykała. Tylko sza! żebyś nikomu o tem nie mówiła!

I nim się obejrzałam, już Waci nie było.

A tymczasem pani Kuźmicka nie weszła wcale do szatni, tylko przechodząc, drzwi na klucz zamknęła. Wacia widać nie słyszała tego wcale i została.

Podczas modlitwy jakoś nie zauważono jej nieobecności. Dopiero gdyśmy poszły do pokoju sypialnego, nauczycielka spostrzegła, że jednej z nas brakuje.

— Nie widziałyście Waci Różańskiej?— pyta.

— Nie widziałyśmy — odpowiada jedna panienka. A ja w pąsach cała stoję i nie wiem, co mam mówić. Nachyliłam się i niby czegoś szukam, ażeby nie zauważono moich rumieńców. Gdyby zaś tylko nauczycielka spojrziała na mnie, domyśliłaby się zaraz, że wiem o wszystkim.

Pensyonarki zaczynają się rozbierać, a nauczycielka chodzi niespokojna po wszystkich pokojach ze świecą i szuka.

— Boże, mój Boże, co ja pocznę!—myślę sobie.—Powiedzieć przecież nie mogę, bom

obiecała Waci dotrzymać sekretu, a gdy nie powiem, panna Leonia, nauczycielka, która z nami sypia, całą noc Waci daremnie szukać będzie. Stoję i drzę cała, nie mogę sukni odpiąć.

Wtem wchodzi panna Leonia.

— Naciu, czemu się nie rozbierasz? Wiesz, że wszystkie koleżanki już śpią.

Musiałam pójść do łóżka, przykryłam się kołdrą i myślę: co będzie z Wacią?

Już wszystkie koleżanki pozasypiały; nauczycielka tylko wciąż chodzi, coś po cichu mówi do służby, naradza się z innymi nauczycielkami... widać, że są zmartwione.

Już miałam pójść do niej, wziąć całą winę na siebie, powiedzieć, że to ja zamknęłam w szatni Wacię. Wstaję więc, gdy naraz rozlega się w przedpokoju przeraźliwy krzyk, w którym poznałam głos Waci.

Panienki się obudziły, usiadły na łóżku, przecierając oczy i pytając: „Co to jest?”

Ale nikt im nie odpowiedział, bo nauczycielki pobiegły wszystkie na kurytarz. Za chwilę ujrzałyśmy, jak biedna Wacia splekana szła do łóżka.

— Kładź się spać, niedobre dziecko, a jutro się rozmówimy—ręczę do płaczącej pani Leonia.

Wkrótce wszystko wróciło do dawnego porządku i ciszy. Nauczycielka zgasiła światło i poszła spać. Poczekalam jeszcze chwilę, poczem wstałam i cichutko, bosy, na palcach przekradłam się do łóżka Waci. Biedaczka bardzo była splekana. Zaraz mi swoją przygodę po cichu opowiedziała.

— Siedzę w szatni — mówiła — i naraz słyszę dzwonek na modlitwę. Przypadam do drzwi — zamknięte. Wielkie rzeczy—myślę sobie — prześpię się tu na paltach, a jutro, gdy pani Kuźmicka wejdzie z rana do szatni, to się wymknę niepostrzeżenie, tak że nikt wiedzieć nie będzie. Jedną salopę na ziemię kładę, drugą pod głowę i leżę.

Słyszę, jak mnie szukają, wołają... Sądziły, że na ulicę wybiegłam, a ja sobie leżę i śmieję się.

Naraz rozlega się chrobotanie myszy... A wiesz, że niczego na świecie tak się nie boję, jak tego brzydactwa. Struchlałam, uszy zatykam, a tu naraz ogromna mysz przebiegła

po mnie. Pomyśl sobie, co za okropność: mysz mi po ręce przebiegła! Niech tam będzie, co ma być, a ja dłużej już nie wytrzymam. Nie wiele też myśląc, jak zaczęłam wołać na ratunek i bić pięściami we drzwi, tak panna Leonia przyszła i oswobodziła mię.

— Waciuniu, ale chyba jutro kara cię nie minie... Biednaż ty, biedna! Chętnie bym połowę winy na siebie wzięła, boć przecie o wszystkim wiedziałam... I ja powinnam być ukarana...

Pocałowałam biedną dziewczynkę; ona też przytuliła się do mnie i tak leżałyśmy czas jakiś. Później przyszło mi na myśl pomodlić się i poprosić Boga, ażeby nie bardzo surowo Wacia została ukarana. Usiadłyśmy na łóżku, odmówiłyśmy Litanię do Matki Boskiej, później krótkie modlitewki do Pana Jezusa. Bardzo, bardzo gorącośmy Boga prosiły.

Na pożegnanie powiedziałyśmy sobie, że każda z nas jeszcze jutro szczerze się pomodli.

Na dużym zegarze w pokoju jadalnym wybiła druga godzina po północy, kiedy znużone — zasnęłyśmy nareszcie.

Luty.

Ach, zbrodniarze, ach szkodniki! a tom się ładnych rzeczy dowiedziała! Nie dość, że o tylu nieprzyjaciołach naszego ogródka dowiedziałam się od Macieja, a tu jeszcze na pensyi opowiadają mi o coraz to nowych wrogach.

Panna Ada zapoznała mnie z omacnicą jabłkową, która wygląda zupełnie jak mól. Wieczorem, kiedy już w ogrodzie niema nikogo i gdy ptaszki pozasypiają, omacnica siada na kwiatach jabłoni i znosi na nich jajka. Z czasem owoc się rozrasta, a w nim hoduje się liszka, która oddawna z jajka omacnicy się wylęgła i wygląda jak robak czerwony. Znam go dobrze: ileż to razy znajdowałam tę liszkę, jedząc owoce! Siedząc w jabłku, ma jedzenia pod dostatkiem i przykrycie od deszczu, więc się temu robakowi wcale nie śpieszy wyjść stamtąd. Na jesieni dopiero, gdy wszystkie ziarnka z jabłka powyjada, przegryza korę. Robi to ostrożnie i trzeba przyznać, że zręcznie. Wypuszcza z siebie nitkę pajęczynową i po niej, jak po linie, schodzi

na dół. Na ziemi zagrzebuje się w jakimś dołku, albo kryje się pod suche liście, zamienia się w poczwarkę i tak zostaje przez całą zimę.

W maju dopiero, gdy drzewa owocowe znów pokryją się kwieciami, z poczwarki wylatuje młoda omacnica.

Teraz wszystko zrozumiałam.

Rozumiem, dlaczego ogrodnik pozagrzebywał głęboko w ziemi suche liście, dlaczego gnojówką podlewał drzewa: czynił to w tym celu, ażeby owych niszczycieli wytepić.

Macieju kochany, choć ty nie jesteś uczy-nym, a jednak bardzo mądrym.

Aha, muszę jeszcze zapisać, jak się skończyła historia z Wacią Różańską.

Bardzo szczęśliwie.

Nazajutrz po tej nocnej awanturze, jeszcze przed lekcjami, Wacia poszła do przełożonej i wyznała jej całą prawdę. Przełożona była w dobrem usposobieniu, wysłuchiwała spokojnie Wacię. Widać, że podobało jej się takie szczere przyznanie się do winy, bo nie gniewała się na nią, tylko spokojnie parę uwag uczyniła:

— Musisz się zastanowić nad tem, co robisz. Pomyśl sobie, gdyby tak cała pensya zaczęła postępować, jak ty, coby to było?

Dziś żałujesz sama, że tak postąpiłaś, a jutro jestem pewna, że nowa swawola przyjdzie ci do głowy.

Ale Wacia obiecała, że nic podobnego jej się nie zdarzy, że się poprawi napewno.

— Pamiętaj — dodała przełożona — żeby to była ostatnia awantura — tylko pod tym warunkiem ci przebaczam. Pójdź teraz do paniny Leonii Żórawskiej i przeproś, żeś ją wczoraj nabawiła takiego niepokoju.

Do nauczycielki poszłyśmy obie razem, i także skończyło się szczęśliwie. Przebaczyła. Wesole pobiegłyśmy do klasy. Na odchodnem pocałowałyśmy się serdecznie, a Wacia przytem powiedziała:

— Naci, moja droga, będziesz moją najlepszą przyjaciółką.

Zgodziłam się, byleby tylko Wacia nie broiła już nic złego...

Marzec.

Uwolniono nas na Święta. W sobotę wszystkie lekcye skończyły się o godzinie 12-ej i zaraz kazano nam się wszystkim zebrać w salce. Przyszła tam przełożona i miała do nas przemowę, w końcu zaś życzyła nam przyjemnych Święt. Na to my jednogłośnie zawołałyśmy:

„Życzymy pani przełożonej wesołych Święt!“

Pożądanym to był dzień dla tych panienek, które miały wyjechać do domu. Ale ja święt nie lubię, wolę lekcye: przynajmniej z koleżankami nagadać się mogę, a teraz mojej Natalci przez tyle dni widzieć nie będę.

Kiedy wszystkie pensyonarki szykowały się do odjazdu, przyszły do mnie moje kochane nauczycielki. Ucieszyłam się niezmiernie, sądziłam, że mi opowiedzą co ciekawego, gdyż dawno nie miałyśmy lekcyi, z tego powodu, że one były bardzo zajęte przygotowaniem do Spowiedzi.

Tymczasem słyszę co innego:

„Moja Naci — powiada panna Ada —

jedziemy do domu na Święta, a po powrocie musimy bardzo pilnie pracować, bo egzamina się zbliżają... Nie wiem, czy będziemy mogły mieć z tobą lekcye. No, daj nam buzi i baw się dobrze przez Święta.“ Pocałowały mnie i wyszły.

Wszystkie nauczycielki też powyjeżdżały, tylko panna Wanda się została. To moja jedyna pociecha, bo ją bardzo lubię, a szczególnie, gdy się uśmiecha do mnie.

Stałam w oknie i myślę sobie o tych panienkach, jakie one są szczęśliwe. Przychodzi paniusia i pyta:

— Cóżes taka smutna, Naciu? Nudzi ci się może?

— Tak — odpowiadam — trochę.

— Chodź-no do mnie, porozmawiamy sobie.

Zaczęła mię wypytywać o dziadków, o ogródek, a później spytała:

— A lubisz ty słuchać historyjek?

— O, tak, proszę pani, bardzo lubię.

— A jakie wolisz: o ludziach, zwierzętach, czy bajki o zbójach i czarownicach?

— Nie, proszę pani, ja wolę o kwiatach.

— To ty tak lubisz kwiaty?

— Lubię, paniusiu, bardzo lubię kwiaty, a szczególnie te, które są w moim ogródku; chciałabym wszystko o nich wiedzieć, wszystko: jak żyją, jak rosną, — chciałabym więcej wiedzieć, niż nasz ogrodnik, Maciej. Powiadają mi, że dopiero w III, IV i V klasie o tem się dowiem... Ach, jak to długo czekać!... najmniej ze trzy, cztery lata!

— Dlaczegoś mi, Naciu, wcześniej o tem nie powiedziała? Ja też bardzo lubię kwiaty, mogłabym ci nieraz ciekawe rzeczy opowiedzieć. Czegóż jesteś najwięcej ciekawa?

— Wiele rzeczy chcę wiedzieć, proszę pani, ale najbardziej to... nie wiem, jak powiedzieć, może to głupstwo wielkie?

— Nic nie szkodzi — powiada dobra panna Wanda — mnie możesz i o głupstwo się zapytać.

Wtedy zebrałam się na odwagę i rzekłam:

— Słyszałam, że rośliny mają tylu nieprzyjaciół wśród owadów. Otóż chciałabym wiedzieć, czy mogą się w jaki sposób obro-

nić? Ale wiem, paniusiu, że to głupie pytanie, bo przecież nie żyją, to i nie potrafią.

— Owszem, bronią się, choć nie zawsze i tylko od niektórych owadów ochronić się mogą. Wiesz przecie, że wszystkie owady są łakome na słodki sok, który kwiaty mają w sobie, ale nie wszystkie są pożyteczne dla kwiatka, to jest nie każdy z nich może przynosić pyłek kwiatowy. Żyje mnóstwo owadów pełzających, mających gładkie ciało, do którego pyłek przylgnąć nie może: przed nimi to kwiaty muszą się bronić. Najgorsze są pod tym względem mrówki. Wyjadają one tyle soku, że nic nie zostawiają dla owadów latających.

Jakże kwiaty radzą sobie? Oto otwierają kielichy bardzo wcześnie i zamykają je przed południem. Mrówki, bojąc się rosy, nie mogą wyruszyć bardzo wcześnie, a gdy rosa zniknie i mrówki podążają do kwiatów, znajdują kielichy już zamknięte.

Inne kwiaty, które nie mogą zamknąć kielichów, mają takie ślizkie płatki, że owad nie może przejść po nich, nóżki obsuwają mu się na ziemię. Czasem wewnątrz kwiatka jest

porośnięte gęstym włosem, w którym mały owad zabłąkałby się, jak w nieprzebytym lesie, więc obawiając się tego, nie wchodzi nawet do tych kwiatów.

Widzisz, jak sobie radzą mądre kwiaty.

Inne znowu mają jeszcze lepsze sposoby: wydzielają z liści i łodyg lepki sok, a owady pełzające, nie wiedząc o tem, przylegają i zostają jakby w pułapce, ginąc w tym lepkim płynie. Znasz roślinę zwaną blekot? Wydziela ona z liści sok mleczny, podobnie jak mak i sałata.

Gdy owady pełzające dotkną liścia, natychmiast wytryska ów sok mleczny. Owad stara się czempędzej wydostać z niego, ale to rzadko się udaje, gdyż sok na powietrzu krzepnie i owady zamierają, nie mogąc porużyć się z miejsca.

Są takie rośliny, jak np. bób, wyka, które przygotowują na swoich liściach sok słodki, aby owady pełzające pożywiły się nim i nie zabierały nic z kwiatu.

Przed mszycami niejedne kwiaty bronią się w ten sposób, że liście i łodygi mają włosiste, więc przez te włoski małe stworzonka

przedostać się do płatków nie mogą. Aby się zaś uchronić od ślimaków, rośliny wypuszczają ciernie i kolce, na których kaleczy się miękka noga napastnika.

Od zwierząt trawożernych rośliny też czasem muszą się bronić. Wiele roślin posiada kolczaste liście, jak np. oset,—znasz go? Żadne stworzenie nie zechce go pokosztować. Inne znów wytwarzają truciznę, jak np. blekot, którego żadne zwierzę nie tknie. Jeszcze więcej ci powiem: kwiaty nawet przed ciepłem i zimnem chronić się muszą. Liście koniuczyny i szczawiu zajęczego stulają się na noc, zapewne w obronie przed zimnem, a delikatne kwiatki wypuszczają z siebie pachnący nektar, żeby przez niego nie mogły się przedostać palące promienie słoneczne.

Słuchałam tego wszystkiego z taką uwagą, że aż mi się uszy i policzki zaczerwieniły, a bałam się głową poruszyć, aby co stamtąd nie uciekło.

A że w tej chwili pobiegłam zapisać wszystko, co usłyszałam, sądzę, że nic nie opuściłam, tylko, że paniusia to wszystko ładniej

mówiła, a ja tylko w skróceniu napisałam, po swojemu.

Marzec.

Zwiedzałyśmy dzisiaj groby po kościołach.

O, ładnie, bardzo ładnie tam jest! Kaplica przybrana kwiatami i różnemi roślinami, niby drzewami, grób zrobiony z kamieni, a w nim leży Pan Jezus. Jak się patrzy zdaleka, to wydaje się niby prawdziwy. A taką ma smutną twarz, tak bolejącą, że pomyślałam sobie: jak bardzo musiał Chrystus cierpieć podczas tych dni, gdy Go dręczono i wreszcie żywcem przybito do krzyża. Mój Boże, jakże Go musiało boleć, a On znosił wszystko bez skargi, nawet nie odtrącił tych ludzi, którzy Go przybijali! Nakazał też Chrystus Pan wszystkich ludzi kochać. A ja tak grzeszę, bo tyle dziewczynek nie lubię. Nie lubię Brońci Zawadzkiej, bo zawsze udaje wielką panią, nie lubię Lili Barańskiej, bo nas wyśmiewa, nie lubię Gajewskiej, bo skarży...

Jaką ja grzesznicą jestem, Boże, jaką grzesznicą!

Padłam na kolana, biłam się w piersi i gorąco prosiłam Pana Jezusa, ażeby mi przebaczył. Przyrzekłam nikomu nic złego nie robić, a nawet te trzy panienki pokochać. Potem odnalazłam w książeczce modlitwy do Pana Jezusa i odmówiłam je wszystkie.

Wracamy na pensję, a tu służąca mówi do mnie:

— Pani przełożona prosi Nacię do siebie.

Strach mnie przejął, choć nie wiem czego. Nic mi złego nigdy przełożona nie zrobiła, ale zawsze boję się jej.

Przychodzę. Serce mi bije, jak młotem, a czerwona jestem, jak kwiatek maku.

Przełożona oddaje mi paczkę i list, mówiąc:

— Masz tu od babki list i placek, który ci przysłała na Święta. Uczennice nie mogą w swoich kufrach przechowywać żadnej żywności, oddaj więc placek panie Wandzie, ona ci go ukraje, gdy będziesz chciała.

Podziękowałam pani przełożonej i prędko pobiegłam szukać mojej paniusi.

Po drodze obmyśliłam, że placek pošlę Natalci, bo ona mi mówiła, że nigdy w domu święconego nie mają, a nawet nie wie, jak smakują mazurki i placki z rodzenkami.

Gdy opowiedziałam to wszystko pannie Wandzie, zaraz zgodziła się.

— Ale widzisz, Naciu—powiada—posłać tego nie możesz, mogą się obrazić i nie przyjmą: pomyślą, że im ktoś z łaski, jak jałmużnę, daje. Zaniesiesz więc sama i poprosisz serdecznie Natalcię, żeby chciała przyjąć. Wiem, że ci to sprawi wielką przyjemność.

— Tak, paniusiu, to jest wielka przyjemność, że placek od babci, którą nad życie Kocham, dostanie się Natalci, mojej najlepszej przyjaciółce. Ale jakże pójdę do niej, przecież nam nie wolno wychodzić z pensyi?

— Już poradzimy sobie. W pierwsze Święto pójdę do moich przyjaciół, zabiorę cię z sobą i wstąpimy razem do Natalci.

Jakże miałam nie uściskać mojej anielskiej nauczycielki! Rzuciłam jej się na szyję i dopóty całowałam, aż mi powiedziała:

— Dosyc, dosyc, Naciu, udusisz mnie.

Mam jeszcze dwa dni, nim pójdę z wizy-

tą; muszę więc dobrze się przygotować. Braciszкови Natalki przyszykuję prezent: on się pewno nie obrazi.

Powydzierałam tedy ze starych kajetów ostatnie czyste kartki, przegięłam na pół i zeszyłam. Potem zaczęłam rysować, ale nie udawało mi się, narysowałam jakieś straszydła. Więc przekalkowałam z książek rozmaite obrazki i zamalowałam kolorowymi ołówkami.

Na każdej stronie był jeden obrazek namalowany.

Na pierwszej chłopczyk z torebką szedł do szkoły; na drugiej—staw, a na nim pływały gęsi i kilka z nich biegło do wody. Najlepiej udały mi się żółte dzioby i łapy ptaków. Były dalej kwiaty, zwierzęta i wiele innych obrazków, a pod każdym podpis, co przedstawia.

Na okładce przerysowałam kanarka i podpisałam: „Maciuś.“

Zostało mi jeszcze dużo czasu, zdążyłam więc napisać list do dziadków. Maciejowi posłałam ukłony i doniosłam, że zamiast listów piszę dla niego dzienniczek, z którego się dowie o mnie wiele dobrych i złych rzeczy.

Marzec.

Nadszedł wreszcie upragniony dzień, najweselszy z dni.

O, muszę go cały opisać, niech się Maciej dowie, jak mi na pensyi dobrze.

Wchodzimy z paniusią do domu, w którym mieszka Natalcia z mamą, i szukamy mieszkania.

Stróż wskazał schody kamienne.

Najpierw zdawało mi się, że wchodzimy do piwnicy, tak tu było nisko i wilgotnie. Zapukałyśmy do drzwi. W tej chwili otworzyła nam kobieta bardzo czysto ubrana, w białym czepku na głowie.

Poznała natychmiast pannę Wandę i zaprosiła nas do pokoju.

Paniusia trochę porozmawiała, potem wytłomaczyła się, że musi iść z wizytą do krewnych, w końcu oświadczyła, że mnie zostawi, a po paru godzinach wstąpi, aby mnie zabrać.

Z Natalcią uściskałyśmy się bardzo serdecznie, ucałowałam jej braciszka Wojtusia,

ślicznego chłopczyka z jasnymi włoskami, przywitałam także i Maciusia kanarka.

— Wies — powiada Wojtuś po dziecin-nemu—nas Majuś spaj djugo, djugo w ziemi, a potem wstaj i śpiewaj ciągle.

— Mój braciszek wciąż myśli, że to ten sam kanarek, który już nie żyje — mówi mi Natalcia do ucha.

Zapomniałam zupełnie o mazurku i koper-cie dla Wojtusia.

Więc sięgam do palta i wydostaję.

Wojtuś aż skakał z radości, ale Natalcia nie chciała przyjąć mazurka.

— Ty mi zawsze coś dajesz, Naciu, a ja tobie nie mogę nic ofiarować... To mi jest przykro, oddaj mazurek komu innemu.

Zaczęłam ją prosić, całować, aż matka posłyszała.

— Przyjmij, Natalciu, jeżeli cię tak pro-si koleżanka, a zaprosz znajome dzieci z po-dwórka, to je poczęstujesz.

Zgodziła się Natalcia i pobiegła po dzieci, a ja tymczasem rozglądałam się po pokoju.

Bardzo mi się tu podobało: podłoga bia-ła, czysta, jak stół, w kącie duże łóżko zasła-

ne, na ścianie obraz Matki Boskiej z pałącą się przed nim lampką.

Przy drugiej ścianie był duży stół biały, a po bokach dwie ławki. Nad stołem zauważyłam nieduży malowany portret żołnierza, zaczęłam mu się przyglądać; a wtem i Natalia wraca.

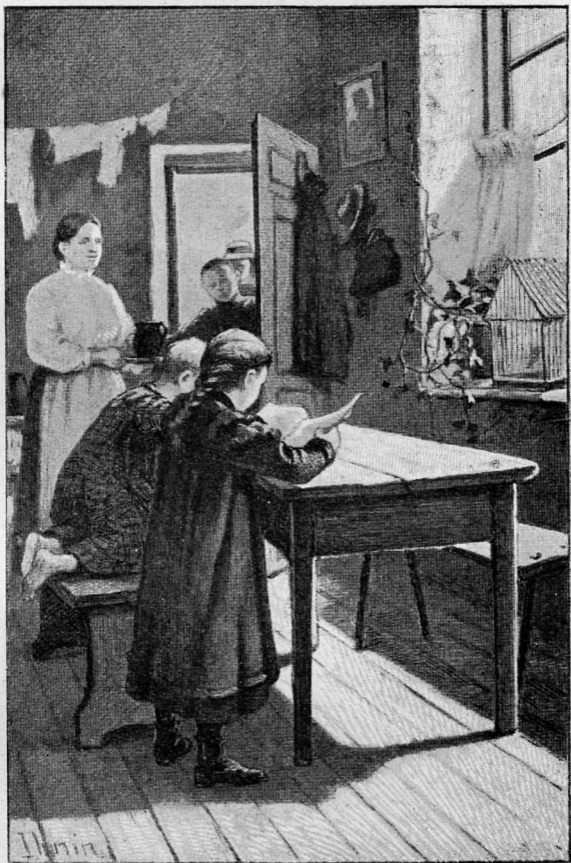
— Zaraz będą dzieci — mówi. — Podobają ci się ten portret?... To mój dziaduś był żołnierzem. Raz na wojnie kula mu rękę przestrzeliła, a on wciąż walczył, nie chciał do domu wracać. Aż tu mu znów kula nogę urwała. Wtedy biedak już musiał porzucić wojnę i o kuli do śmierci chodził.

Wtem drzwi się otworzyły i kilkoro dzieci wbiegło prędko: Jańcia z braciszkiem, dzieci stróża, Kasia, córka stolarza, Józiek i Walek.

Zaraz zabawa się rozpoczęła, a Walek był taki dowcipny, iż wciąż nowe gry wymyślał.

Zadawał nam zagadki, a myśmy rozwiązywali. Wymawiał jakiś wyraz, a ktoś powinien był całe zdanie do niego ułożyć.

Gry musiały być siedzące, bo mieszkanie



Wtem drzwi się otworzyły i kilkoro dzieci wbiegło prędko.

było bardzo ciasne, nie mieliśmy gdzie biegać.

Jednak wesoło nam czas schodził.

Natalcia niedługo zaczęła nakrywać do stołu, pokrajała mazureki i każdemu z nas położyła kawałek. Potem matka jej naląła nam po filiżance herbaty z mlekiem i zaprosiła na podwieczorek.

Usiedliśmy na ławkach i piliśmy herbatę, która smakowała nam wybornie.

Przy jedzeniu rozgadali się wszyscy i mnóstwo nowin mi opowiadali:

— Wczoraj koń dorożkarski pośliznął się i upadł... długo nie mógł wstać, dopiero kiedy go stangret wyprząął, podniósł się.

— A ja widziałam, jak koń naprawdę nogę złamał — wtrąciła się Jańcia.

— A ja gorsze rzeczy widziałam, jak kobieta spaliła się w sklepiku.

— Co ty mówisz, spaliła się żywa? — zapytałam.

— A spaliła się; może jeszcze żyje, nie wiem. W jej sklepie benzyna się zapaliła... Kobieta chciała zagasić pożar, a wtem ubranie zajęło się na niej. Zaczęła wołać, krzy-

czeń. Nim ludzie nadbiegli, ciało zaczęło się palić, cała poczerniała. Przyjechało „Pogotowie ratunkowe“ i zabrało ją do szpitala.

— Ach, jakie ty straszne rzeczy opowiadasz!... Jak ta kobieta okropnie musiała cierpieć!... To chyba tylko w waszych okolicach ludzi spotykają takie nieszczęścia, — na pensyi nic podobnego nie słyszałam.

— Oho! prawda była! A gdzież murarz spadł z rusztowania? — mówi Jurek. — Naprzeciwno waszej pensyi; sam widziałem, bom pobiegł natychmiast zobaczyć. Tylko, że was nie wypuszczają na ulicę, a gdy idziecie na spacer, to jak gęsi jedna za drugą wleciecie się po Nowym-Świecie i Alejach.

— A wy to niby na ulicy siedzicie — spytałam trochę obrażona — żeś nas gęsiami nazwał?

— Nie siedzimy ciągle, tylko biegamy za sprawunkami.

Usiadł i zaczął mi opowiadać, jak on to pomaga ojcu, stolarzowi, gdy wróci ze szkoły.

Potem i inne dzieci zaczęły opowiadać, jak co każde z nich robi w domu.

Okazało się, że jedne pilnują młodszego

rodzeństwa, inne zamiatają pokój, sprzątają, załatwiają sprawunki. Ich rodzice wcale służącej nie trzymają, tylko wyręczają się swemi dziećmi.

— A ja? — pomyślałam sobie — co ja robię? Służąca po mnie sprząta, służąca bućki czyści, służąca filiżanki myje, a mnie pozostaje tylko uczyć się i bawić.

I taki wstyd uczułam, iż to tylko ja jedna z pomiędzy tych dzieci jestem próżniakiem, że nie wiedziałam, co z sobą robić.

— Jak wrócę do domu do babci — pomyślałam sobie dla uspokojenia — to będę zupełnie inną: nikomu nie dam sobie usługiwać, sama będę sobie wszystko robiła!...

Poproszę, żeby babcia dała Marysi inną robotę, bo już ja pokój sama sprzątnę. Nie będę chyba Nacią, jeżeli tego nie zrobię.

Po podwieczorku wszystkie dzieci zbliżyły się do Wojtusia i oglądały obrazki, które narysowałam.

Było mi to trochę nieprzyjemne, bo nie umiem przecież ładnie rysować. Więc odeszłam i usiadłam przy Natalci.

— Gdzie ty lekcye odrabiasz, Natalciu? —
pytam — gdzie twoje książki?

— A tutaj, patrz.

I prędko wysunęła z pod łóżka dużą drewnianą pakę, w której książki i kajety były bardzo porządnie poukładane, a w środku stał kałamarz.

— To moje biurko — powiada, uśmiechając się — pakę przykrywam deską, układam książki, sama siadam na małym stoleczku i piszę, bo ten duży stół jest zajęty: zawsze na nim bielizna leży, gdy mama pierze.

Zaczęłyśmy oglądać książki, ale wkrótce przyszła panna Wanda i musiałam się pożegnać.

Zaraz po powrocie, poszłam do łóżka, bo było już późno. Ale noc miałam okropnie niespokojną: to mi się zdawało, że jakiś koń na trzech nogach skacze, a czwartą ma złamaną, to znów widziałam, jak biedna poparzona kobieta wije się z bólu. Dopiero aż nad ranem usnęłam. I pomyślałam sobie, że te biedne dzieci z podwórka mają wiele, o! bardzo wiele zmartwień, patrząc na to wszystko.

Kwiecień.

Znowu siedziałam sama, smutna, bo na pensyi było tak cicho, tak cicho, jak w nocy.

Wszyscy powychodzili, nawet przełożonej nie było.

W drugim pokoju obok siedziała panna Wanda i czytała książkę. Bałam się jej przerywać, choć okrutnie chciało mi się rozmawiać.

A tu panusia, jakby przeczuła, podchodzi nagle do mnie i pyta żartobliwie:

— I cóż, moja ogrodniczko, wciąż o kwiatkach myślisz? Twój ogrodnik pewno myśli sobie: „Kiedy Nacia przyjedzie, wszystko porozkwita.“ Wiesz, ile ci się zostało czasu do wyjazdu? Dwa miesiące, to nie wiele.

— O, Maciej ma teraz mnóstwo roboty... Biedak, sam musi nadążyć wszystkiemu, bo nie ma nikogo do pomocy.

— A dawniej ty mu pewno pomagałaś? No, i nie martwił się Maciej, że takiego pomocnika stracił?

— E, nie — mówił — że na pensyi dużo rozumu nabiorę. A ja tak mało umiem, tak

dużo rzeczy nie dowiedziałam się wcale! Ot, np. myślę i myślę i nie mogę wymyślić, jakim sposobem mogą kwiaty urosnąć tam, gdzie ich nikt nie sadił?

Raz w szparze, na dachu starej piwnicy, bławatek urósł. Prawda, paniusiu, jakie to dziwne? Drugi raz znowu głóg urósł w naszym ogródku, a ogrodnik ani myślał go tam sadzić.

— Bardzo rzecz prosta, to się często zdarza. A wiesz, kto rozsiewa kwiatki to tu, to owdzie? — Ptaki. Zaraz ci powiem, jakim sposobem.

Wiesz, że one lubią bardzo owoce. Zobaczą zdaleka np. głóg — zbliżają się, usiądą na gałązce i dziobią. Ziarenka głogu są włochate i czepiają się łatwo piórek przy dziobku ptaka. Po takim śniadaniu ptak leci gdzieś do gaju, na ruiny lub gdziekolwiek-bądź, zacznie czyścić dziobek i rzuci zabrane ziarenka, z których potem rosną krzewy.

Tak samo bywa z jagodami i innymi owocami. W ten sposób wyrastają poziomki, jagody czarne, berberys, powój, głóg, dzika róża, jałowiec, jarzębina, jeżyna, borówki.

A rośliny to lubią, one jakby umyślnie zabarwiają swoje owoce różnymi kolorami jaskrawymi, jak np. białym, żółtym, czerwonym, ażeby ptaki zdaleka spostrzedz je mogły.

Roślina zwykle wytwarza dużo ziarn, pozwala nawet ptakom zjadać owoce, byle choć kilka ziarenek przeniosły i gdzie dalej zasiały.

— A dlaczego, paniusiu, koniecznie przenieść mają dalej?

— Bo gdyby obok jednego krzaku wyrosło kilka podobnych do niego, toć przecież wkrótce zabrakłoby mu soków w ziemi i niejedna roślina musiałaby zginąć.

Drugim ogrodnikiem jest wiatr. Przyczynia się on bardzo do rozsiewania rozmaitych rodzajów nasion więcej delikatnych, drobniejszych.

Gdy bławatki okwitną, ziarenka ich dostają małych haczyków. Otóż wiatr prędko je porywa i przenosi na inne pole, na łąki, ruiny, a czasem nawet na dachy, jak się to u was zdarzyło.

Ziarna lewkonii mają znowu skrzydełka po obu stronach, jak również niezapominajki;

brodawnik zaś i oset ma puszek. Wiatr porywa pierzaste nasionka i niesie je, jak baloniki.

W drobniejszych roślinach dojrzałe owoce pękają i wysypują nasienie na ziemię, tym sposobem zasiewając się same.

Moja Naci, dość tych mądrości, nie uchronisz mi się, gdy tak dużo naraz wiedzieć będziesz — żartowała moja Wandusia (tak ją w myśli nazywam). — Ot, słuchaj: lepiej opowiem ci legendę, skąd się wzięła konwalia.

— Dobrze, paniusiu, dobrze...

Przysunęłam się bliżej i słuchałam uważnie.

— Była sobie raz mała dziewczynka, dobra, łagodna, słodka, nikomu nic złego nie zrobiła nigdy, a każdemu usłużyć chciała; na nieszczęście, mając dwanaście lat, umarła.

Po śmierci poszła wprost go nieba. Aniołowie zaraz ją tam spotkali, serdecznie powitali i już odtąd dziewczynka nie rozstawiała się z nimi.

Pięknie było w niebie: księżyc swe blaski rozsiewał, gwiazdki, jedne jaśniejsze od drugich, figlarnie mrugały do niej, a tam wyżej,

w czerwonych obłokach, otoczony jasnością przebywał Bóg, Któremu wszyscy oddawali cześć.

I było tak wesoło dziewczynce, tak dobrze, że ani razu nie pomyślała o ziemi, na której kiedyś przebywała.

Razu jednego pyta jej się Aniołek:

— Czy ci nie żal, dziewczeczko, dawnego twego życia na ziemi?

— O, wcale nie!

— Ani tych pól, ani łąk, ani lasów?

— Nie, nie żałuję: tu stokroć piękniej.

— Ani tych dzieci, z którymi się bawiłaś?

— Po co mam tęsknić do dzieci, kiedy mam tu Aniołki daleko lepsze, miłsze i ładniejsze.

— I tej chatki twojej ci nie żal?

— Gdzieżbym o chatce myśleć mogła, gdy tu mam urocze niebo.

— I matuli ci twojej nie żal, która tak często płacze po tobie?

Zamilkła dziewczynka, przypomniała sobie matkę i pierwszy raz zasmuciła się, a lzy czyste i szczerze upadły na ziemię. Padając zaś, zamieniały się w wonne kwiaty konwalii.

— Paniusiu, jakie to śliczne!—zawołałam i prędko otarłam oczy, bo mnie się też łzy w nich zakręciły.

Gdyby to zmoich łez wyrastały kwiaty, to chybabym ich miała cały ogród.

Kwiecień.

Miałam dzisiaj, jak to mówią, sto pociech, co prawda i strachu trochę, ale więcej przyjemności.

W czasie pauzy podchodzę do panny Ady i powiadam, że wiem już wszystko, czego mi powiedzieć nie chciała; zrozumiałam to z łatwością, bo to nic trudnego; dowiedziałam się nareszcie, jak się tworzą ziarenka w różnych kwiatkach, w jaki sposób wyrastają owoce jabłoni, gruszki i t. d.

Panna Ada spojrzała na mnie i powiada:

— Myślisz, że ci tak zaraz uwierzę? Skądbyś to mogła wiedzieć?

— Skąd wiem, to już mój sekret, ale mogę to wszystko pani opowiedzieć.

— Zobaczymy, jak się złapiesz. Ale skoro chcesz tego sama, to się zgadzam.

Umówiliśmy się, że wieczorem zejdziemy się w salce.

Przychodzę, a tu trzy nauczycielki siedzą.

Nie spodziewałam się takiego zgromadzenia i z początku myślałam, że wszystko zapomniała. Ale po namyśle opowiedziałam, z jakich części składa się kwiatek i jak się one nazywają. Wkrótce tak się rozgadałam, że aż zdawało mi się, iż jestem sama nauczycielką.

— Najważniejszą jednak częścią kwiatka są pręciki i słupek. Gdyby nie one, wcale owoców nie byłoby na świecie.

— Co też ty mówisz? — zapytuje przerażona panna Ada.

Ale ona pewnie żartowała ze mnie.

— Tak jest. Aby kwiat wydał owoce i nasiona, musi pyłek z pręcików upaść na słupek, przedostać się do wewnątrz, do zalążni i dotknąć ziarenek, które się w niej znajdują. Wtedy dopiero zalążnia zaczyna się rozrastać i w końcu dojrzewa, jako owoc gruski, jabłka, wiśni i t. p.

Gdy pyłek przeleci z jednego kwiatka na drugi, nic to nie szkodzi, byleby tylko roślina

była tego samego gatunku; to też, gdy pyłek wiśni z jednego drzewa przeleci na słupek wiśni drugiego drzewa, może wytworzyć nasienie,—lecz gdy dostanie się do kwiatu jabłoni, to ginie.

Niektóre rośliny mają tylko po jednym zalążku, a w takim wypadku owoc zawiera po jednym nasieniu, jak wiśnia. Inne znowu mają liczne zalążki i wydają owoce z wieloma nasionami: na przykład jabłko, makówka i t. p.

— Naciu, nie uchronasz nam się... Skąd taka mądra jesteś?—pytają panienki.

— Z własnego rozumu—powiadam—daleko więcej jeszcze umiem.

A o tem, skąd dowiedziałam się, nic nie wspomniałam.

— Ale — powiadam, robiąc minę poważną—nie tak to łatwo idzie, jak się paniom wydaje: nie zawsze pyłek z pyłka chce upaść na słupek, zapewne woli po świecie latać razem z wiatrem, a dla kwiatków wtedy bieda: ani ziaren, ani owoców...

Na ratunek wtedy śpieszą owady. Siada-

ją one na kwiaty, zabierają pyłek i przenoszą na drugi kwiat.

Dlatego rośliny używają przeróżnych sposobów, aby przynęcić owady do swych kwiatów: dostarczają im soku słodkiego, przybierają swe korony w rozmaite jaskrawe barwy, wydają z siebie woń miłą. Ale zato, gdy raz dopięły swego, wtedy kwiatek traci płatki, pręciki, bo mu są już niepotrzebne, i żywi tylko sam słupek, ażeby lepsze ziarenka wyhodować.

— Wiesz co, Maniu—powiada panna Ada po cichu do koleżanki—ta mała wkrótce lepiej od nas będzie umiała botanikę.

Zarumieniłam się, gdy to usłyszałam. Ale jeżeli tak mówią, to z pewnością dobrze opowiadam, nie myłę się.

— Wszystko to dobrze, stokrotko, ale mnie się zdaje, że ty nie zupełnie rozumiesz, w jaki sposób owady pyłek przenoszą—pyta panna Mania—zapewne myślisz, że przy pomocy pyszczka to robią?

— Prawda—powiadam. — Z czego pani się domyśliła?

— Bo i mnie się też tak z początku zda-

wało, gdym słuchała wykładu nauczyciela. Ale okazało się później, że tak nie jest. Kwiaty chowają swój miód głęboko w kielichu, i gdy owad chce dostać się do miodu, musi koniecznie otrzeć się o pręciki, które obsypują go pyłkiem. Potem owad ten leci na inną roślinę, ociera się o kwiat, o lepką powierzchnię słupka i zostawia na nim pyłek zebrany z pierwszego kwiatka. Każdy owad ma swoje ulubione kwiaty, które odwiedza, więc najczęściej pyłek trafia na kwiat właściwy. Rozumiesz?

— Rozumiem, ale jakież to jednak dziwne rzeczy dzieją się na świecie. Chyba w to wszystko Maciej nie uwierzy.

— A teraz—pyta panna Mania, całując mnie w głowę— powiedz, skąd wiesz tyle ciekawych szczegółów o kwiatach?

Nie mogłam już dłużej ukrywać i musiałam przyznać się, że od naszej paniusi.

A jednak próżniak ze mnie nielada! Opisałam wczoraj figla, jakiego pannie Mani wypłatałam, opowiadając o opylaniu kwiatów, a nie zanotowałam poprzedniej lekcji, którą miała z nami paniusia.

— Żle, bardzo źle, Naciu, obiecałaś Maciejowi zapisywać wszystko po porządku, a o kwiatku i jego częściach, ani mru-mru!

Paniusia w swych pogadankach doszła nareszcie do najciekawszych dla mnie rzeczy.

Wczoraj przynosi nam gałązkę wiśni, pokrytą kwiatami. Był to pierwszy kwiat, który widziałyśmy w tym roku, więc jednym głosem zawołałyśmy: „A!... jaki śliczny!...”

Paniusia dała nam obejrzeć gałązkę.

Listki na niej były jeszcze małe, ale lśniły się, jak polakierowane — wiem dlaczego: bo jeszcze młode; z jednego miejsca wychodziło po kilka kwiatków, najczęściej cztery, a każdy siedział na długiej nóżce.

O tem wszystkiem mówiłyśmy same, paniusia tylko wypytywała. Każda z nas znała wiśnię, więc opowiadałyśmy, co to za drzewo, że ma korę popekaną, a ze szczelin wypływa sok, który krzepnąc przyczepia się do drzewa; inna znowu mówiła, że zbierała ów sok i używała go zamiast gumy do sklejanja. Któraś znów utrzymywała, że jej mamusia ma rączkę u parasolki z drzewa wiśniowego, że ta rączka ma przyjemny zapach wiśni.

Paniusia pozwoliła wygadać się dziewczynkom, a później zapytała:

— A czy wiecie, dziewczynki, jak się tworzy owoc wiśni?

— Z kwiatków—odpowie jedna—bo wi-sienki także siedzą po kilka na gałązce, jak kwiaty.

— Pierwej, niż wam o tem opowiem, muszę was zapoznać z częściami kwiatu.

I rozdała każdej uczennicy po jednym białym kwiatku wiśni; trzeba było trzymać bardzo ostrożnie, bo białe listki opadały.

— Czy spostrzegacie u spodu kwiatu małe i zrośnięte zielone listki? To jest kielich kwiatka, bo te listki tworzą razem jakby kielich niepozorny, jak widzicie, ale też kryje się skromnie, prawie go nie widać, choć jest bardzo potrzebny dla kwiatka: on to głównie ochrania delikatne części rośliny. Dopóki kwiatek młody i słaby, kielich go otula, jak kołderką, przed zimnem i wilgocią — przyjrzyjcie się. Widzicie tu, pod spodem?

Obok rozwiniętych kwiatów było rzeczywiście kilka pączków, na których kielich był bardzo widocznym.

— Białe listki kwiatka — mówiła dalej nauczycielka—nazywają się płatkami. Przy-
patrzcie się, jak wyglądają. Ile ich jest?

— Pięć!—woła jedna.—Pięć!... pięć!..—
powtórzyły inne, bo każda rachowała u siebie.

— Wszystkie zaś płatki razem tworzą koro-
nę kwiatu.

— Proszę pani—mówi Zosia—nie każdy
kwiatek ma białą koronę i nie zawsze tylko
pięć płatków zawiera w sobie.

— Rzecz jasna, że każdy kwiatek ma in-
ną koronę: żółtą, różową, niebieską i t. d.

Tu zaczęły dziewczynki jedna przez drugą
wylizywać, jakie kwiatki mają żółtą, jakie nie-
bieską, a jakie różową koronę.

Paniusia taka cierpliwa, słucha każdej
dziewczynki, pozwala im mówić długo... Ja-
bym tam dawno wszystkim umilknąć kazała.

— Teraz poobrywajcie płatki. Co pozos-
tało w kwiatku?—pyta paniusia.

— Jakieś szpileczki o żółtych łebkach—
mówi Mania.

— To są pręciki...

— Proszę paniusi, ja porachuję—woła
Zosia.

— Nie porachujesz—mówi Natalcia—bo się mieszają ze sobą.

— To prawda, jest ich wiele, ale każdy z nich składa się z cienkiej nitki, a na wierzchołku jej osadzone są woreczki napełnione pyłkiem, tak zwane pylniki. Te pylniki są bardzo małe...

— A tak, paniusiu, niby małe kapturki—przerwała Wandzia.

— W niektórych kwiatach, np. w lilii, pylniki są bardzo duże i widoczne. Spróbujcie teraz delikatnie poobrywać wszystkie pręciki i zostawić tylko jeden najgrubszy.

Wszystkie pręciki natychmiast poszły precz.

— Czy ten ostatni jest taki sam, jak inne? Nie, podobny raczej do buteleczki: u dołu rozszerzony, ku górze zwężony, — jest to słupek. Najważniejszą w nim jest część dolna, bo mieści w sobie małe ziarna, z których potem powstają nasiona.

Wtem odezwał się dzwonek. O, niechże go nie znam! właśnie zadzwonił wtedy, kiedy był najmniej potrzebny...

W takim razie skończymy na następnej

lekcyi, a dziś zapamiętajcie sobie główne części kwiatu: kielich, koronę złożoną z płatków, pręciki z pylnikami i słupek.

Nazwy te powtórzyliśmy wszystkie chórem za paniusią.

Kwiecień.

Jutro mamy pierwszego maja. Jest to mój ulubiony miesiąc. Jak tam w ogródku naszym wszystko się umiało! Drzewa i kwiaty wyglądają, jakby się ubrały w nowe zielone sukienki. A i na pensyi pięknie witałyśmy dzień pierwszego maja, bo byłyśmy wszystkie na majowym nabożeństwie.

W sali przełożona zawiesiła pięknie przybrany kwiatami obraz Matki Boskiej. Po bokach stoją dwa figusy, a takie duże, że wyglądają, jak krzaki. Na stoliku, pod obrazem, umieszczono kilka doniczek hyacyntów, tulipanów i dwie świece woskowe. Przypomina mi to zupełnie ołtarz w kościele.

O godzinie 6-ej wieczorem przyszło kilka uczennic z miasta i razem z nami, pensyonarkami, udało się do sali. Panna Wanda zapa-

liła świece woskowe przed obrazem Matki Boskiej, uklękła i zaczęła z nami głośno odmawiać Litanie. Potem zanuciła swym miłym głosem pieśń do Boga-Rodzicy, a i myśmy wnet za nią chórem zaczęły śpiewać. Ja też starałam się jak najpiękniej, bo przecież to na chwałę Matki Bożej.

Wpatrywałam się w obraz i zdawało mi się czasem, że Królowa Niebios także ma oczy ku mnie zwrócone. O, jakże kochałam wtedy Najświętszą Pannę! Tak serdecznie na Jej chwałę się modliłam, aż mi się łzy w oczach zakręciły...

Później każda z nas po cichu odmówiła swój pacierz.

Prosiłam bardzo Matki Boskiej, aby się zlitowała nad babcią, dziadkiem, Maciejem, Natalcią, wszystkimi memi nauczycielkami, koleżankami, aby ich darzyła szczęściem... O, bo w tej chwili bardzo wszystkich kochałam!

Po modlitwie dopiero zauważyłam, że i Zosia-łobuz jest z nami.

Przywitałyśmy się serdecznie.

— Naciu, umiesz lekcye na jutro? — pyta Zośka.

— Umiem.

— To pochodźmy sobie po salce. Wyjawię ci sekret. Ale pamiętaj, żebyś nikomu, nikomu o tem nie mówiła!

Przyrzekłam.

— Kiedym wyjechała na Święta Wielkanocne do domu—powiada Zosia—ogromnie mnie serdecznie witano. Opowiedziałam im o pensyi, o koleżankach i o wielu innych rzeczach, ale o figlach przemilczałam. Wiesz, Naciu, mam matuchnę, którą kocham nad życie, nic przed nią ukryć nie mogę, zawsze wszystko muszę jej wyznać. Więc i tym razem o najgorszych moich figlach opowiedziałam. Pamiętasz historyę z kaloszami?

— A jakże mam zapomnieć — odpowiadam—kiedyś je gwoździami do ziemi przybiła? Pamiętam dobrze ten brzydki figiel...

— Otóż i tę historyę opowiedziałam mamusi. Nie gniewała się wcale, tylko tak do mnie serdecznie przemówiła:

— Moje dziecko, pewnie nie pomyślałaś o tem, że nauczycielka może jest ubogą i nie może sobie sprawić nowych kaloszy, może teraz często nogi przemacza i kaszlu się na-

bawia... Nie zastanowiłaś się nad tem, prawda? Toć chociaż dokazywać lubisz, złego serca nie masz...

— Prawda, mamó — odpowiedziałam — rzeczywiście nauczycielka Francuzka nie ma innych kaloszy, ale moja mamusiu, ja się nie mogę do tego przyznać i przeprosić jej, bo by mnie dama klasowa strasznie ukarała, a może i przełożona dowiedziałyby się o całej tej sprawie.

— Wiem — odpowie mama — że przykro ci będzie przyznać się do winy. Ale poradzę ci, w jaki sposób możesz naprawić krzywdę nauczycielki. Masz parę rubli własnych pieniędzy, które sobie uzbierałaś: kupimy za nie kalosze. Po powrocie na pensję, owiniesz je ładnie w czysty papier i napiszesz na wierzchu: „Od dziewczynki, która zniszczyła pani kalosze.“ Gdy to uczynisz, wybierz sobie taką chwilkę, abyś niepostrzeżenie mogła powiesić paczkę na ubraniu nauczycielki języka francuskiego.

— Dobrze, mamusiu, tylko muszę jeszcze dodać wyraz jeden i napisać: „Od niedobrej

dziewczynki.“ Ach, czuję teraz, że ja naprawdę niepoczcziwie postąpiłam...

— Droga Zosiu—mówiła dalej mama— o jedną rzecz cię poproszę. Nie zabraniam ci figlować, bawić się i dokazywać, ale pamiętaj, ażebyś nie figlowała złośliwie, aby nikt z twoich figłów krzywdy nie doznał... To mi musisz przyrzec, o to cię matka bardzo prosi.

Ucałowałam matusię i święcie przyrzekałam, że do jej rad się zastosuję.

— Dobrze—odpowiedziała mi — teraz jestem spokojna.... Wierzę, że słowa dotrzymasz.

A z kaloszami zrobiłam tak, jak mi mamusia poradziła. Widziałam zdaleka, jak nauczycielka rozwinęła kalosze ze swemi literami, uśmiechnęła się i włożyła je na nogi. A były widać dobrze dopasowane, bo odrazu weszły. Wówczas zdawało mi się, jakby wielki ciężar spadł mi z serca, tak byłam rada, że złe naprawiłam. Prawda, Naciu, że mamusia miała wyborną myśl?

Tylko pamiętaj, żebyś nikomu o tem nie opowiadała... Ty jesteś moją najlepszą przy-

jaciółką, więc tylko tobie całą sprawę opowiedziałam.

Obiecałam solennie dotrzymać słowa.

Ile ja też sekretów mam do zachowania!.. Mój Boże, pełną głowę... O Zosi zawsze wiedziałam, że jest dobrą dziewczynką. Tylko szkoda, że tak dużo ma w głowie figłów.

Maj.

Lekcyje z panną Wandą należą teraz do najprzyjemniejszych. Szkoda tylko, że nie codzień je miewamy.

Wiele rzeczy z tych, które nam pani opowiada, słyszałam już od Macieja (zawsze mówiłam, że on jest mądry)—nie zapisuję więc tego, postanawiając notować tylko nieznanne mi wiadomości.

Dziś panna Wanda przyniosła nam bukiet kwiatów wiosennych: były tam kluczyki, fijołki, bratki, niezapominajki. Każda z nas dostała po jednym kwiatku.

— Czy dobrze pamiętacie części, z których się składają kwiaty?—pyta paniusia.

— Pamiętamy, pamiętamy — odrzekły wszystkie panienki.

— Ja je wymienię, proszę pani — powiada jedna z nich.

— Niech mnie pani pozwoli powiedzieć — doprasza się druga

W końcu Natalcia wyliczyła części kwiatu: kielich, koronę, pręciki i słupek.

— Dobrze — odrzekła paniusia — niech każda z was odnajdzie wszystkie te części kwiatka.

— Proszę pani — odzywa się jedna z uczennic — w moich kluczykach kielich może być naprawdę kielichem: możnaby w niego nalać wina.

— A tak, kielich w kluczykach zrósł się zupełnie.

— I ja mam to samo: kielich niezapominajek także jest z jednej sztuki — rzekła Zosia.

Wkrótce przekonaliśmy się, że w bratku, który miała Natalcia, i w moim fijołku kielichy też są zrosnięte i mają po pięć ząbków.

Potem przeszliśmy do korony kwiatów. Lecz cóż się okazało? Oto korona we wszy-

stkich kwiatach miała po pięć płatków, kłuczyki miały ją zrosniętą, ale u góry rozdziałała się na pięć części.

Zaczynamy rachować pręciki, wszystkie uczennice jednogłośnie zawołały: — Pięć! pięć!...

Słupki też, okazało się, że są podobne do siebie.

— Co to jest, paniusiu? — pyta Zosia — chyba jaki figiel pani nam zrobić chciała: na zeszłej lekcyi każdy kwiatek miał inne części, a dziś wszystkie są złożone z jednakowych części, choć tak rozmaicie wyglądają. Niech nam paniusia powie, co to znaczy?

— Chcecie naprawdę wiedzieć dlaczego? Bo wszystkie należą do jednej rodziny fijołkowatych; a dawniej miałyście kwiaty, do różnych rodzin należące. Równie jak ludzie w jednej rodzinie podobni są do siebie, tak też i kwiaty, choć z pozoru wydają się zupełnie różne.

— Proszę paniusi, czy dużo takich rodzin kwiatowych na świecie? — pytam.

— O, dużo, niektóre są bardzo liczne. Naprzykład rodzina różowatych, porachować-

by trudno było, ile kwiatów zawiera: różę, malinę, jeżynę, truskawki, jabłoń, poziomki, gruszkę, wiśnię i wiele innych. Są rodziny liliowate, do których należy lilia biała, żółty hyacynt, tulipan, cebula, szafran i t. d. Jest także rodzina motylkowatych, jaskrowatych i wiele innych.

— Więc każdy kwiat ma swoją rodzinę? — pytam.

— Tak, każdy należy do jakiejś rodziny.

— A skąd, paniusiu, można się dowiedzieć, jaki kwiat z jakiej pochodzi rodziny?

— Każda rodzina ma swoje odrębne właściwości: pewny układ liści, korzeń, ilość płatków, pręcików—podług tego właśnie klasyfikują rośliny. Zresztą o tem dowiedziecie się w klasie III, gdy słuchać będziecie botaniki.

— Ale — pomyślałam sobie zaraz—panna Mania już o tem słyszała; ciekawa jestem, czy Maciej umie rozpoznawać rodziny kwiatów. Bądź co bądź, musi to być rzecz dość trudna.

Czerwiec.

Dziś był popis na pensyi, wielka uroczystość...

O godzinie pierwszej wprowadzono nas do sali, która wyglądała zupełnie inaczej, niż zwykle.

Przy jednej ścianie stał duży stół, nakryty zielonem suknem. Na nim leżały jakieś pięknie oprawione książki i świadectwa dla starszych panien. Na pierwszym miejscu siedział ksiądz, obok przełożona, nauczyciele, nauczycielki, po drugiej i trzeciej stronie sali mnóstwo pań i panów, rodziców uczennic. Wtem, co widzę! drzwi się otwierają, wchodzi babcia moja, droga babunia.. Nie wiem, czy to wolno, czy nie wolno, podbiegłam w jednej chwili, ale tylko jej rączki ucałowałam, bo mi kazano zaraz stanąć z innymi uczennicami w szeregu.

Popis rozpoczął się śpiewem chóralnym; prześpiewaliśmy najpierw modlitwę, a potem dwie pieśni poranne. Później panienki popisywały się, grały na fortepianie, deklamowały... a mnie taki strach ogarnął na myśl, że

w obec tylu osób będę musiała mówić wiersze, że aż drzeć zaczęłam.

Ach, gdyby przełożona i nauczycielki wiedziały, jak to przykro tak stanąć pośrodku sali! Wszyscy się patrzą, słuchają... Żeby to się co stało ze mną, żebym naprzykład umarła... Ach, Boże, cóż ja piszę, umrzeć na zawsze nie chciałabym, tylko na parę dni, dopóki popis nie minie. Przyszło mi na myśl pójść do przełożonej i prosić ją na wszystko, ażeby mnie od tej strasznej męczarni uwolniła, ale przełożona wciąż siedzi za stołem, a obok niej tyle obcych osób. Jak tu podejść!

Naraz ktoś mię trąca w rękę — to paniusia mówi, że na mnie kolej przyszła. Muszę więc deklamować... Wysunęłam się naprzód, łzami mi oczy zasły, nic nie widzę, tylko jakieś czerwone promienie. Chcę mówić i nic nie pamiętam, nawet tytułu.

— „Pójdźcie, o dziatki“ — ktoś mi podpowiada.

— Pójdźcie, o dziatki — powtarzam — i jakoś poszło. Mówiłam tak, aż mi tchu zbrakło.

Gdy skończyłam, czułam, że twarz miałam rozpaloną, drżałam cała.

— Zbliź się, Naciu, do stołu — powiada pani przełożona. — Za pilność w naukach i dobre sprawowanie dostajesz nagrodę.

Przy tych słowach ksiądz prefekt podał mi dużą książkę z kolorową okładką.

Uradowana, ukłoniłam się i wróciłam na dawne miejsce.

— Szczęśliwa Naciu — wołają jedne dziewczynki — pokaż, co za książka?

Ale ja byłam tak wzruszona, że poszłam do drugiego pokoju. A tu i babcia do mnie przyszła. Rzuciłam się teraz jej na szyję i rozpłakałam się, nie wiem sama dlaczego... Płakałam, szlochałam, ale i babcia, choć całowała i uspokajała mnie, miała łzy w oczach.

— Pociecho ty moja najdroższa, maleństwo moje, czy spodziewałam się po tobie takiej mądrali, żeby mi wiersze mówiła takie piękne i nagrodę za naukę dostała!... Cóż to za książeczka, obejrzyjmy — mówiła, uspokajając mnie.

Czytamy. Boże, co za obrazki, co za rośliny, kwiatki!... O nich w tej książce piszą.

— Ach, cóż za szczęście, babciu... Więc ja w lecie będę mogła tę książkę czytać i do tego razem z Maciejem! Jak to dobrze, bo ja, babuniu, bardzo mało jeszcze o kwiatach umiem.

— Moja Naciu, spakujże swoje książki i rzeczy wszystkie, jutro musimy już wyjechać; gdy załatwię sprawunki, to jeszcze wieczorem wpadnę na pensję...

— A kiedy babcia przyjechała?

— Wczoraj wieczór!

— A dlaczego do mnie babcia nie przyszła, tylko wprost na popis?

— Przeciwnie, byłam wczoraj, ale mnie przełożona prosiła, ażebym cię nie odrywała od uczenia się wierszy, i radziła zrobić ci niespodziankę przed samym popisem.

Ostatni raz już położę się do łóżka pensyonarskiego, a jutro o tej porze już w drodze będę...

20 Czerwca.

Jestem najszczęśliwszą istotą na świecie. Jadę do domu, ujrzę wkrótce dziadka, Macie-

ja, ogródek! Wraz ze mną jedzie i moja najdroższa przyjaciółeczka — Natalcia, co jeszcze większą radość mi sprawia. Stało się to w ten sposób. Gdyśmy stanęły z babunią w hotelu, zaczęłam opowiadać o wszystkich moich przyjaciółkach, o tem, jak się z nimi żegnałam, jak mi żal było się rozstawać.

Babcia zdziwiła się, że tyle mam przyjaciółek, i spytała, którą z nich kocham najserdeczniej.

— Natalcię — odpowiedziałam.

Później zaczęłam mówić o jej matce, bracišku, o tem, że Natalcia jest bardzo biedna, że nigdzie dotychczas nie wyjeżdżała, że nigdy nie była jeszcze na wsi, a bardzoby tego pragnęła.

Babcia najpierw cierpliwie wszystkiego wysłuchała, a później powiedziała, że ją zaprosi do nas na wieś.

Myślałam, że uduszę moją babcię w uściskach, tak jej dziękowałam za koleżankę.

Za godzinę już byliśmy w mieszkaniu Natalci. Babunia poznała ją już wcześniej na pensyi, gdyż moja droga przyjaciółka otrzymała pierwszą nagrodę.

Z początku mama Natalci nie chciała przystać na wyjazd córki. Tłómaczyła się, że nie ma ją w co ubrać, że może ona nie będzie umiała zachowywać się w obcym domu, i wiele innych czyniła uwag. Ale babcia upewniła ją, że będzie ją traktowała, jak drugą wnuczkę.

— Córka pani tymczasem na wsi zdrowia nabierze — mówiła babcia — u nas powietrze wyborne, nie tak duszno i parno, jak w Warszawie. Będą sobie obie panienki po ogródku razem biegały i bawiły się.

Widać, że przekonała poczciwą kobietę, bo ta już nie zaprzeczała więcej, podziękowała babci i obiecała przyprowadzić córkę na pociąg o godzinie 10 wieczór.

— Natalciu — powiadam — słyszałaś, co babcia mówi: będziesz jej wnuczką, musisz mówić jej „babciu“ i już nie jesteś moją przyjaciółką, tylko siostrzyczką, tak, bo mamy jedną babcię. Zgadzasz się?

— Zgadzam — odpowiada Natalia do ucha.

Wkrótce pożegnaliśmy się i wyszliśmy.

Zaledwie minęłyśmy bramę, babcia poważnie do mnie przemówiła:

— Moja Naciu, umówiliśmy się z dziadkiem, żeby ofiarować ci jakąś nagrodę, boś na nią zasłużyła. Otóż chcę ci tu dać parę rubli na kupienie dla Natalci sukienki letniej i kapelusika. Wiem, że ci w ten sposób większą przyjemność sprawię, niż prezentem tobie ofiarowanym. Wszak prawda?

— Prawda, babuniu, prawda! Natalcia bardzo się ucieszy, a ja tak lubię patrzeć się na jej radość. Boże, jak to się wszystko ułożyło!—zawołałam i podskoczyłam parę razy na ulicy. A pani jakaś, przechodząc, spojrziała na mnie i rozśmiała się. Zawstydyłam się, bo ona na pewno pomyślała, że jestem nieprzytomną.

— Babciu — zapytałam — jak babci się zdaje, czy wszystkie moje koleżanki są tak uszczęśliwione, jak ja?

— Zapewne wszystkie te, które mają dobre serca, bo dzieci złe nigdy nie są szczęśliwe.

— Szkoda — pomyślałam sobie i zaczęłam przypominać, które dziewczynki mają

złe serca. Zdaje mi się, że dwie są takie w naszej klasie, ale nie zapiszę ich nazwisk, bo by im przykro było.

Teraz babcia pakuje rzeczy, a ja muszę kończyć pisanie, bo mój kajet też do walizki pójdzie. A tu, jak na złość, tak mi się na gadulstwo zebrało, że chciałabym pisać i pisać...

Ale to po raz ostatni.

— Ach, mój Boże, jakże jestem szczęśliwa, że za chwilę spotkamy się z Natalcią!

Mój dzienniczku, dziękuję ci, żeś tak cierpliwie przyjmował wszystkie moje bazgroty. Ale już więcej cię nudzić nie będę! Pójdźno teraz do Macieja i opowiedz staremu przyjacielowi wszystko, co zawierasz: rok cały mojego życia na pensyi.
